

Rok VI.
Kraków, dnia 9 czerwca 1912 r.
Nr. 23.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz jednoszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6. Telefon nr. 2346.

Procesya Bożego Ciała w 1281 r.

Uroczystość Bożego Ciała jest może najwspanialszą ze wszystkich wspaniałości kościelnych. Obchodzona pod kopułą samego nieba, obsypana deszczem kwiatów i to w najpiękniejszej porze roku zachwyca nas swoją nieziemską poezyą.

Święto Bożego Ciała zostało ustanowione w wieku XIII, a dała do niego powód św. Julianna, zakonnica w mieście Liége (Lież). Z początku święto to obchodzono tylko w tem mieście, aż Papież Klemens V rozciągnął je na całe chrześcijaństwo. Uroczystość ta przeniosła się prędko do Polski, gdzie budziła nietylko nabożeństwo, ale i gorącą ciekawość i współubieganie się, posunięte nieraz do zazdrości.

Stare kroniki opisują procesyę Bożego Ciała w Krakowie w 1281 r. Celem przyozdobienia na zewnątrz swych domów, wydobywano wszelkie skarby z piwnic, aby przystroić ołtarze, ulice, bramy, a nawet ziemię, po której miała przechodzić procesya.

A nie było może jednej piędzi ziemi w Krakowie, po którejby orszak z Panem Bogiem nie przeszedł, bo jak tydzień długi, codzień inne procesye ciągnęły, coraz to z innych kościołów, ażeby żadna część miasta nie czuła się pokrzywdzoną. Łatwo zgadnąć, jak wszystkie dzielnice przesadzały się w przepychu i w najśliczniejszych pomysłach, byle przyćmić swoje sąsiadki. Ale co już naprzód wiedziano, to że wszystkie będą przyćmione przez ostatnią procesyę, t. zw. »maryacką«, która w drugi czwartek popołudniu okrążała rynek. Z tą już nawet nikt nie próbował iść o lepsze. I nie dziwota. Przy rynku mieszkali ludzie najbogatsi, a przytem ta właśnie procesya miewała dodatek, jakiego brakowało poprzednim: po skończonem nabożeństwie odgrywano zazwyczaj na rynku wielkie, religijne misteryum, tryumfalne zakończenie radosnego tygodnia.

Wprawdzie w owym roku procesya pozbawiona była większej części swoich świeckich blasków, bo książę Leszek, porając się z Haliczaninem, jeszcze nie był wrócił do stolicy. Brakło więc rycerstwa, które na uroczystościach świeciło zbrojami i nadawało im świetności.

Ale też zato mieszczaństwo, niczem nieprzyćmione, czuło się więcej niż kiedykolwiek u siebie, gospodarzyło całem sercem. A pochód ów nie był wcale bezładnym ani dowolnym Na czele szło dwóch seniorów, dalej parami stąpali bracia majstrowie, ludzie zazwyczaj tłuści, ze spojrzeniem nieco twardem, jako przywódcy, nawykli do rozkazywania. Za majstrami raźno szli towarzysze czyli czeladź, ludzie jeszcze smukli, ruchliwi, rzeczywiści żołnierze pracy. Nakoniec tłoczyli się uczniowie, chłopczyska po większej części chude, zabiedzone, ale z czapką na uchu i filuternem okiem.

Poza cechami szły luźne tłumy ludu.

Naczelny dział procesyi tworzyły zakony o sukniach czarnych, białych, brunatnych, o twarzach pełnych prostoty, lub zwiędłych od starości lub trudów życia klasztornego.

Jeszcze głębiej, na samem czele, iskrzącą falą płynęło wyższe duchowieństwo, światowiej wyglądające A co za ubiory!... Jakie na brzegach sukien koronczarskie cuda, jakie krzyże z szafirów i szmaragdów na piersiach, jaki szron z pereł na ornatach i stułach. O ile ziemia może dworować niebu, znać, że to pierwsi dworzanie Króla Niebieskiego.

A poza nimi, wśród migotliwości złotych frendzli, pod fontannamibiałych pióropuszów, zwolna się, kołysze purpurowy baldachim. A pod baldachimem kroczy ksiądz staruszek, trzymając w ręku »Chleb Anielski«.

Pod stopy jego z cicha wciąż lecą listki róży... Najśliczniejsze dziewczątka, pieszczoszki krakowskich rodzin sypią je na cześć Najwyższego.

Nareszcie pochód stanął. Kapłan podniósł monstrancyę i jął błogosławić. Padli wszyscy na kolana i wszyscy byli prochem wobec Boga w Najświętszym Sakramencie.

Ant. St. Bassara.

PRZEZ POGROM.

Opowieść z Wielkiej Wojny w 1812 r.

ROZDZIAŁ III.

Do Napoleona.

Walek opuścił Wolicę z myślą, aby jak najprędzej dostać się do armii wielkiego Napoleona i z nim iść na Moskali, a gdy ich już raz spotka, to będzie bił, ile sił starczy. O broń nie troszczył się wiele. Wziął wprawdzie z domu starą strzelbinę, ale czuł, że z taką bronią niewiele będzie mógł na wojnie zdziałać, gdzie są w robocie armaty. Zresztą Napoleon, który o wszystko się troszczy i o wszystkiem ma staranie, zobaczywszy go z lichą bronią, w lepszą zaopatrzy i na wroga powiedzie.

A choćby i bez broni?... To co? Chłopu nie dziwota i na pięści do bitki iść. Strzelba, gdy się ją za silnie nabije, pęknąć może, szabla się pokruszy, ale pięść, byle ino silna, zawsze wytrzyma a złamać się nie da.

Walek z Wolicy wyszedł nocą, chcąc uniknąć tych zwykłych zapytań: A dokąd? A gdzie? A po co? Zatrzymywania nie obawiał się, bo i ktoby go tam zatrzymywał, ale jedni z drwinami wyrażaćby się mogli o jego postanowieniu, drudzy gotowi byliby żartować, a tego onby nie zniósł i musiałby był swej pięści na najbliższych sobie popróbować bez potrzeby. Tego chciał uniknąć i dlatego to wyszedł nocą.

Przed opuszczeniem Wolicy bez rozgłosu posprzedał koniki i krowy; pasterza, który je pasał, odesłał do rodziców, wypłaciwszy mu należytość po koniec roku.

Noc była ciepła a taka cicha, że każdy najlżejszy szmer było słychać daleko. Przed Walkiem od czasu do czasu zerwał się ptak jakiś, zbudzony niespodziewanie i pomknął stajań kilka, gdzie znów zapadał w ciszy i zasypiał na nowo.

Na niebie jaśniał księżyc w całej pełni, otoczony tysiącami gwiazdek złocistych, jak ten pasterz, pasący owieczki na niebieskim ugorze. Blask księżyca pokrywał całą okolicę, rozjaśniał drogi i ścieżki, któremi wypadało Walkowi przechodzić.

Droga początkowo biegła wzdłuż wsi, potem przewijała się wśród cienistego boru, mijała wreszcie pola i wioski i prowadziła gdzieś ku wschodowi, ku stronie, w której być musiał Napoleon ze swoją wielką armią.

W ciszy nocnej rozlegał się odgłos kroków Walkowych, a wtórowało mu jego serce rodzone, które od niejakiego czasu zrobiło się takie niespokojne, jak ten źrebak wychowany na wolności, któremu chcą uzdę i uprząż założyć. Niespokojność ta rozpoczęła się od owej chwili, gdy Walek poznał, że bez Marysi nijakby mu było żyć na świecie.

Serce tłukło się w piersi a w myślach kotłowało, jakby na jakim jarmarku w miasteczku, albo na odpuście w Matkę Boską Zielną.

— I po co ja idę? — pytał Walek sam siebie.— Przecież Marysia w Wolicy a nie przy Napoleonie!

I już chciał nawrócić z drogi ku Wolicy, ale przyszły mu na myśl słowa Marysi, powątpiewające o jego odwadze i dzielności.

— Nie! nie wrócę! — szeptał. — Gdybym był zgoła nie szedł, byłoby honorniej, ale teraz wracać, to tylko drwiny i pośmiewisko.

I znowu przyspieszał kroku, jakby tam gdzieś ktoś na umówionem miejscu oczekiwał.

— A jeśli tymczasem kto inny do Marysi przyśle swaty i ją poślubi, cóż ci przyjdzie z twojej odwagi? — zapytywał rozsądek.

— Marysia nie taka! — odpowiadało serce. — Ona, dowiedziawszy się, żem na jej życzenie poszedł na krwawe boje, nie będzie niewdzięczną, ale owszem, gdyby cię nawet dotąd nie lubiła, to polubi i kochać cię będzie na zawsze.

— A gdy zginiesz? — zapytał rozsądek. — Cóż ci po wszystkiem?

— Wola Boska — szeptał Walek. — Co się stanie, to stanie, ale ja już przed spotkaniem z Moskalem nie wrócę.

Powziąwszy takie postanowienie, chciał Walek poprzednie myśli precz odpędzić, ale one ciągle, by jakie uprzykrzone muchy powracały i obsiadały jego głowę, że je nijak było odegnać. Raz odegnane, wracały ponownie i obsiadały umysł jego, wyciskając na skronie gęste krople potu.

Gdy świtać zaczynało, był Walek już do trzech mil od Wolicy. Zmęczenie dało się mu już dobrze we znaki a i żołądek, ze względu na całonocną podróż Walka, prosił o posiłek. Usiadł więc Walek pod rozłożystą gruszą przydrożną, wyjął chleb z torby podróżnej i począł zajadać.

Wtem z oddali doszedł go tentent kopyt końskich. Natężył słuch, aby się przekonać, z której strony ma spodziewać się gości. Rozpoznał, że właśnie z tej strony, skąd on przyszedł, i tentent ów pochodzi.

Jakoż niedługo na skraju lasu, który widniał zdala, wyłoniło sie kilka postaci jeźdźców i szybko zbliżało się ku Walkowi. Odetchnął Walek z ulgą, bo poczęła go trapić myśl, że nie trafi do Napoleona, jako nieznający drogi, którąby ku niemu wiodła. Czemprędzej schował resztki chleba do torby podróżnej, odmówił krótki pacierz dziękczynny za spożyte śniadanie i był gotowy na przybycie podróżnych. Nie upłynęło ani dwadzieścia minut, gdy ci zrównali się z Walkiem. Było ich sześciu. Ze stroju i min można było odrazu rozpoznać, że życie wojenne było im nie nowiną i że teraz właśnie kierują się w stronę, w której zapewne przebywał Napoleon.

Już jeźdźcy mieli pominąć Walka bez zatrzymania się, gdy jeden dał znak, na który wszyscy, jakby na komendę, zatrzymali swe rumaki, a jeden z nich odezwał się:

— Pochwalony Jezus Chrystus! A dokąd to, człecze, Pan Bóg prowadzi?

Walek miał już odpowiedzieć, że na wojnę, ale ugryzł się w język, bo postanowił być ostrożnym, i odrzekł:

— Ot tak sobie idę w świat, gdzie oczy poniosą, może gdzie lepszą dolę nadybię.

— A cóż ci to tak źle było na świecie? — zapytał drugi.

— Bogać tam dobrze! Zły sąsiad dokuczał, nieurodzaj doskwierał, sprzedałem ojcowiznę i w świat idę, aby co lepszego znaleźć — kłamał Walek dalej.

— Dobry byłby sługus dla nas — szepnął któryś z jeźdźców do towarzysza. — Możnaby go tak zabrać ze sobą, Stachu?

— Baj baju! — odrzekł nazwany Stachem. — A gdzież go waszmość weźmiesz, kiedy tyle mamy koni, co nas samych.

— Możnaby po drodze kupić — próbował tłómaczyć poprzedni, ale ten, który im niejako przewodził, wyrzekł:

— Nie marudźcie bez potrzeby, bo na nic się to nie przyda! W drodze na wojnę po słudze nam nic, gdyż żołnierz sam siebie obsłużyć powinien, a po drugie niepotrzebny wydatek jeszcze bardziej nadwyrężyłby i tak zbyt szczupłe fundusze.

Początkowej rozmowy słuchał Walek obojętnie, bo nijakby mu było pójść w służbę, choćby rycerzy najlepszych, kiedy sam o wojaczce marzył, ale na wiadomość, że jeźdźcy na wojnę ciągną, żywiej serce w nim uderzyło, gdyż spodziewał się od nich zasięgnąć wiadomości, w którą stronę przyjdzie mu swe kroki skierować. Zdjąwszy więc czapkę, pokłonił się jeźdźcom i, jak mógł najgrzeczniej, zapytał:

— Przepraszam pokornie, czy panowie także do Napoleona?

— Jakto także? — zawołali prawie równocześnie jeźdźcy. — Czyżbyś i ty na wojnę dążył?

Zmieszał się bardzo Walek i zawstydził, że go złapano na kłamstwie, począł więc niezręcznie tłómaczyć się, czem popadł w jeszcze większe podejrzenie.

Jeźdźcy jęli coś między sobą szeptać i spozierać na Walka, że ten, nie mogąc dłużej strzymać tego upokarzającego położenia, rzucił czapkę o ziemię, a podgarnąwszy dłonią czuprynę, jął mówić:

— Niech się stanie, co chce, ale powiem wszystko! Jakeście nasi, to chwała Bogu, a jak Moskale, to się wpierw popróbujemy, nim mnie uśmiercicie. Ale to myślę, żeście nasi, bo Moskal ani Boga nie pochwali, ani ludzkiej mowy nie zrozumie.

Odetchnął Walek, bo lżej się mu na sercu zrobiło, gdyż zbył się kłamstwa, do którego uciekł się tylko z ostrożności a potem prawił:

— Tak jest, panowie, idę do Napoleona, aby bić Moskali, którzy nam ziemię zabrali i bezkarnie plugawią. Idę bić Moskali, bo od tego mój spokój i szczęśliwość moja zależy. A jeżeli panowie także na Moskala, to mnie z sobą zabierzcie, bo nie wiem, którędy droga do niego wiedzie.

Spodobała się jeźdźcom szczera mowa Walka, więc postanowili wziąć go ze sobą już nie jako sługusa, ale jako wiernego towarzysza broni. Rzecz cała polegała tylko na tem, aby coprędzej nabyć gdzie dla Walka konia, gdyż pieszo nie mógłby za jeźdźcami nadążyć. Nim to jednak miało nastąpić, postanowiono jechać wolno, aby nie rozłączać się z nowym towarzyszem.

Po powzięciu owego postanowienia, jeździec, nazwany poprzednio Stachem, który nosił nazwisko Stanisław Rokicki, ofiarował się dać Walkowi konia, a sam chciał iść z jaką milkę pieszo. Przyklasnęli tej myśli inni i oświadczyli gotowość odbywania na zamianę podróży pieszo, ale Walek się na to nie zgodził, lecz oświadczył stanowczo, że póki własnego konia mieć nie będzie, na innego nie wsiędzie.

Ujęły te słowa bardzo nowych towarzyszy Walka i jeszcze bardziej serca ich skłoniły ku niemu. Powodowani szacunkiem dla prostego chłopa, który z miejsca przypadł im do serca, oznajmili mu swe nazwiska. Byli to: Stanisław Rokicki, Paweł Korsak, Onufry Jarniński, Michał Zaklika, Szczepan Wolski i Karol Rawicz, znana szlachta, synowie dawnych, choć nieco podupadłych rodów. Majątki ich leżały w Galicyi, dlatego też nie zaraz połączyli się z Napoleonem, ale teraz dopiero ciągnęli, aby go dopędzić i do oddziałów polskich, idących z jego armią, wstąpić.

Walek natomiast opowiedział im szczerze i otwarcie swoje powody, które go skłoniły do wyruszenia na pole walki.

Uśmiechali się młodzieńcy, słuchając opowiadania Walkowego, ale tem bardziej go polubili za jego szczerość i za jego ukochanie, jakie powziął ku Marysi.

Po wzajemnem zapoznaniu się siedmiu towarzyszy, ruszyli w dalszą drogę: sześciu jechało, Walek szedł pieszo. Droga wlokła się powoli, gdyż jeźdźcy ze względu na Walka nie chcieli pospieszać, a ten, jako pieszy, nie mógł zbyt prędko postępować. Wobec tego odbywali częste popasy, w czasie których coraz bardziej zaprzyjaźniali się z Walkiem. Szczera i otwarta natura chłopaka była dla nich nieraz cenną nauką.

Podróż taka trwała blisko dwa tygodnie a drogi niewiele ubyło. Po drodze zwiadywali się, czyby nie można gdzie było kupić jakiego konia dla Walka, ale dobre ich chęci nie zostawały spełnione, gdyż konie, jakie gdzie były, pozakupywali żydzi bądź dla wojsk polskich, idących z Napoleonem, bądź dla Moskali. Dopiero przy końcu drugiego tygodnia nabyli, wprawdzie niezbyt pokaźnego, ale silnego i wytrwałego konia i odtąd wszyscy siedmiu mogli już szybciej podążać.

Przy kupnie poznano jeszcze lepiej bezinteresowność Walka, bo gdy Stach chciał konia zapłacić z własnych funduszów, a inni proponowali zrobić składkę, Walek oświadczył, że grosza mu jeszcze nie brak, więc darowizny nie przyjmie. Towarzysze uściskali spracowaną dłoń Walka i życzeniu jego uczynili zadość.

Odtąd nasi podróżni podążali szybciej. A że to lato było skwarne i słońce mocno przygrzewało, przeto w dzień odpoczywali gdzieś w cieniu lasu, nocą zaś jechali tem szybciej, im bliżej byli celu.

W ciągu drogi łowili chciwie pogłoski, jakie krążyły o Napoleonie i o Moskalach. Mieli się jednak coraz bardziej na ostrożności, gdyż coraz częściej dochodził ich słuch o krążących oddziałach moskiewskich, które bądź to zbierały żywność, bądź też napadały na odosobnione oddziały napoleońskie. Długi czas jednak szczęśliwie unikali spotkania z nimi.

Aż dopiero pod koniec sierpnia, gdy już byli w okolicach Andruszowa, gdzie oddziałów moskiewskich krążyło coraz więcej i coraz pewniejsze wieści o Napoleonie dochodziły, przyszło im spotkać się z nimi po raz pierwszy.

Było to pod wieczór. Gdy po całodziennym spoczynku, jaki sobie urządzili w lesie, wyruszyli w drogę, spostrzegli nagle oddział Moskali, składający się z przeszło trzydziestu żołnierzy, wprost na nich jadący. Z początku serca ich zaczęły uderzać przyspieszonem tempem, bo na spotkanie nie byli przygotowani, ale prędko uspokoili się i złożyli krótką naradę, co im począć wypadało.

Zaklika radził skręcić w las i przepuścić ich mimo siebie. Rada ta jednak nie wydawała się dobrą Rokickiemu, gdyż, jak słusznie sądził, Moskale już ich zobaczyli i niechybnie w lesie szukać będą.

Poczynało przeważać zdanie, że najlepiej będzie zawrócić konie i, co tchu starczy, uciekać przed nieprzyjacielem.

Nie podobała się jednak ta myśl Walkowi.

— Jakto — mówił — szliśmy szukać Moskala, a znalazłszy go, będziemy przed nim uciekać? Wy, jak chcecie, ale ja, choćby sam, zostanę i prał będę, póki jeden żyw zostanie.

Zawstydziła ta odwaga towarzyszy Walkowych, zwłaszcza, że prawie w tej chwili Rawicz poddał, zdaniem wszystkich, myśl zbawienną, w wykonaniu której wnioskodawca objął komendę.

Na jego polecenie Walek, Rokicki i Zaklika pozsiadali z koni i ukryli się w lesie, zaś czterej inni, przywiązawszy ich konie do swoich, pojechali ku oddziałowi. Gdy już byli od niego na odległość strzału, na komendę wydaną przez Rawicza:

— Cel, pal! — padły cztery strzały, skierowane ku oddziałowi nieprzyjacielskiemu i czterech Moskali stoczyło się na ziemię.

W tej chwili Rawicz krzyknął donośnym głosem:

— W tył zwrot! W konie! — i czterej nasi wojownicy, jak wicher, popędzili w stronę, z której przybyli.

Moskale, zdaje się, na napad nie byli przygotowani, gdyż zmieszali się i poczęli cofać. Zobaczywszy jednak napastników uciekających, otrzeźwieli prędko i puścili się w pogoń.

Walek, zostawszy w lesie, począł ściskać w ręce pistolet, a ustami szeptać litanię do Najświętszej Panienki. Nie bał on się śmierci, ale mu jakoś tak nijako było zabijać ludzi na drodze bez żadnego powodu. Nogi dygotały pod nim, a serce obejmował lęk nieznany. Mimo to jednak wytężył wzrok za towarzyszami, którzy odjechali ku Moskalom. Nie mógł ich jednak dojrzeć, bo drzewa wszystko zasłaniały.

Nagle padły strzały.

— Jezus, Marya! — wyszeptał Walek i począł patrzeć ku drodze. Jakoż w niedługą chwilę przemknęli czterej jego towarzysze.

— Chwała Bogu! żyją! — rzekł i jął się wpatrywać dalej. Podniósł pistolet ku górze i skierował go w stronę, kędy pogoń jechać musiała. Dał się słyszeć tentent kopyt końskich a tuż za nim mignęła postać Moskala. Zbadał Walek w mgnieniu oka, czy dobrze wymierzył, przymknął oczy i wystrzelił. Ledwo strzał przebrzmiał, uszu jego doszedł jęk a za nim ciężki upadek ciała ludzkiego. Zimny dreszcz przeszedł po ciele Walka. Lecz nie czas było namyślać się, gdyż z drugiej strony odezwały się strzały Rokickiego i Zakliki.

Podniósł więc powtórnie pistolet w górę, wymierzył i puścił kulę na Moskali. Ci wstrzymali się na chwilę, jakby się naradzić chcieli, co mają dalej czynić. Walek tymczasem wystrzelał wszystkie naboje, jakie miał gotowe, a że strzelał zbliska, więc skutek dla Moskali był fatalny: dwóch z nich spadło z koni, trzech poczęło krwią broczyć. Strzały Zakliki i Rokickiego niemniej musiały być celne, gdyż ten i ów z Moskali, nie czekając rozkazu, począł zawracać konia i umykać w stronę, z której oddział ów przybywał.

Dowódca ich jednak wydał nakaz:

— Naprzód! — i oddział szykował się do dalszej drogi.

Zatrwożył się Walek, nie o los towarzyszy, bo był pewny, że Moskale ich nie zgonią, ale o to, że przyjdzie mu się z nimi rozłączyć właśnie wtedy, kiedy przylgnął do nich sercem całem. Rozgniewany ujął więc w obie ręce za lufę wystrzeloną przed chwilą strzelbę i wypadł na drogę, na przejeżdżających Moskali. Natknął się właśnie na sam środek oddziału. Nie namyślając się wiele, począł z całej siły walić, gdzie trafił: to konia w łeb, to Moskala. Zrobiło się zamieszanie. Moskale nie mogli pojąć, co się stało, byli pewni zasadzki. Padło kilka strzałów, zupełnie nieszkodliwych dla Walka, bo bez celu, poczem oddział złamał się we dwoje, rozprószył i pomknął z powrotem, skąd przybył. Na placu boju pozostał Walek sam ze strzelbą w obydwu dłoniach i pokrwawioną kolbą.

Gdy przyszli ku niemu Rokicki i Zaklika zdziwieni tak pomyślnym a niespodziewanym obrotem walki, stał jeszcze Walek z bronią w rękach i szeptał:

— To dla Polski, Maryś — to dla ciebie, Maryś!

Nie dokończyli jeszcze składać mu życzeń Rokicki i Zaklika z powodu bohaterskiego znalezienia się w obliczu Moskali, gdy lasem nadciągnęli: Korsak, Jarniński, Wolski i Rawicz.

Po krótkim odpoczynku w cieniach lasu, podążyli nasi znajomi w kierunku Smoleńska, gdzie przybyli właśnie nazajutrz po krwawej a zwycięskiej bitwie z Moskalami. (Ciąg dalszy nastąpi).

Nowe „Włości rentowe“.

W sobotę 25 maja 1912 r. odbyło się posiedzenie Komisyi dla włości rentowych pod przewodnictwem J. E. Marszałka hr. Badeniego. Obecni PP.: Jan Hupka, Dąmbski, Witos, Korol, Sawczak.

Po załatwieniu szeregu podań o zezwolenie na wydzielenie lub zamiany parcel, oraz o dodatkowe drobne pożyczki na dokupno gruntów w celu wcielenia ich do włości rentowych, przyznano następujące nowe pożyczki rentowe:

1. Pow. Biała: *Franciszek Kramarczyk* (były poseł) w Osieku 67½ morga, wszystko drenowane, pożyczka 41 000 koron.

2. Pow. Brzeżany: *Kasper Soczyński* w Kozłowie, 28 morgów, pożyczka 20.400 kor.

3. Pow. Husiatyn: *Piotr Hołubowicz* w Kociubińcach, 14 morgów, pożyczka 8.500 k.; *Roman Muzyka* w Kociubińcach, 14 morg., poż. 7.350 kor.

4. Powiat Jarosław: *Karol Janus* w Morawsku, 8 morg., poż. 2.100 k.; *Błażej Gwóźdź* w Morawsku, 25 morg., poż. 8.000 kor.; *Robert Cena* w Morawsku, 14 morg., poż. 8.000 kor.

5. Pow. Kałusz: *Bazyli Misio* w Siwce Kałuskiej 63 morg., pożyczka 36.000 kor.

6. Pow. Kamionka Strumiłowa: *Paweł Rybicki* w Sielcu, 11 morg., poż. 4.000 k.; *Franciszek Neugebauer* w Łanach, 10 morg., poż. 4.300 k.; *Mikołaj Borys* w Jasienicy ruskiej, 13 morg., poż. 5.000 kor.; *Wasyl Pałamar* w Sielcu bieńkowym, 27 morg., poż. 9.500 k.; *Jan Łucyszyn* w Sielcu bieńkowym, 17½ mor., poż. 6.000 k.; *Zofia Langerowa* w Sielcu bieńkowym, 13 morg., poż. 4.400 k.

7. Pow. Lwów: *Fr. Kapłon* w N. Konkowicach, 18 morg., poż. 7.800 kor.; *Jan Bahr* w Zydatyczach, 10 morg., poż. 4.600 k.; *Piotr Bajtarowicz* w Kościejowie, 17 morg., pożycz. 9.400 k.

8. Pow. Przemyślany: *Paweł Kret* w Połonicy, 12 morg., poż. 6.000 k.

9. Pow. Radziechów: *Leon Chałuszczak* w Stojanowie, 10 morg., poż. 4.600 k.; *Mikołaj Demczuk* w Stojanowie, 13½ morg., poż. 3.700 kor.; *Hryć Tkaczuk* w Stojanowie, 21 morg., poż. 4.400 k.; *Leon Hałuszczak* w Stojanowie, 15 morg., poż. 5.800 kor.

10. Powiat Tarnopol: *Mikołaj Czarniecki* w Isypowcach, 16 morg., poż. 9.500 k.

11. Pow. Tłumacz: *Jan Raczkowski* w Tyśmienicy, 24 morg., poż. 12.500 k.

12. Pow. Trembowla: *Karol Muszyński* w Trembowli, 15 morg., poż. 8.800 k.

13. Pow. Oświęcim: *Jan Chałatek* w Piotrowicach, 15 morg., poż. 2.550 k.; *Stanisław Wobrya* Wagi, Jaśkowice, 8½ morg., poż. 7.000 k.

14. Pow. Zbaraż: *Hnat Kramar* w Kapuścińcach 17 morg., pożycz. 8.300 k.

15. Powiat Zborów: *Ilko Łucyszyn* w Meteniowie, 10 morg., pożycz. 5.500 k.; *Wasyl Kotyk* w Meteniowie, 18 morg., poż. 12.000 kor.; *Paweł Omelan* w Meteniowie, 10 morg., poż. 6.300 k.; *Józef Ogrodnik* w Meteniowie, 19½ morg., poż. 11.800 k.; *Kość Polowy* w Meteniowie, 21 morg., poż. 10.000 k.; *Józef Jaworski* w Meteniowie, 10½ morg., poż. 6.600 k.; *Paweł Budnik* w Meteniowie, 10 morg., poż. 7.400 k.; *Iwan Kowal* w Meteniowie, 16 morg., poż. 10.000 k.; *Wojciech Dziumaga* w Meteniowie, 17 morg., pożycz. 9.450 k.; *Łukasz Czereda* w Jeziernej, 11½ morg., poż. 5.000 k.; *Henryk Gawłowski* w Olejowie, 12 morg., poż. 5.700 kor.

16. Pow. Złoczów: *Jan Bednarczyk* w Stadni, 11 morg., poż. 6.200 k.; *Stanisław Zaremba* w Stadni, 11 morg., poż. 6.500 kor.

„Zróbcie Mu miejsce!"

Z końcem szesnastego a z początkiem siedmnastego stulecia żył we Francyi św. Franciszek de Sales, który pochodził z dostojnej rodziny, odebrał staranne wychowanie, przyjął święcenia kapłańskie, a swemi kazaniami i przedziwną łagodnością jako misyonasz nawrócił na łono Kościoła katolickiego około siedmdziesiąt tysięcy kalwinów. Przy pomocy św. Joanny Franciszki de Chantal założył on we Francyi w roku 1610 zakon żeński pod opieką Nawiedzenia (Visitatio) Najświętszej Maryi Panny.

Zakonnice te, zwane Salezyankami lub Wizytkami, trudniły się głównie wychowaniem dziewcząt. Do Polski a najpierw do Warszawy sprowadziła je Marya Ludwika, żona króla Jana Kazimierza Wazy.

W niedługim czasie po założeniu, w jednym z tychże zakonów Wizytek we Francyi żyła świątobliwa siostra Marya Małgorzata à la Coque. Wszelkie wolne chwile od zajęć, związanych z regułą Wizytek, poświęcała żarliwej modlitwie i szczególniejszej czci ku Ukrzyżowanemu Zbawicielowi, Utajonemu w Najświętszym Sakramencie Ołtarza.

Pewnego pięknego południa wraz z swemi wychowankami udała się poza miasto do pobliskiego lasku. Dziewczątka rozbiegły się wśród drzew i krzewów a siostra Marya, znalazłszy zaciszny i spokojny kącik, uklękła a zwiesiwszy głowę ku ziemi, utonęła cała w modlitwie do Ukochanego Zbawiciela. Naraz, podniósłszy twarz, wśród splątanej gęstwiny konarów w jasnym świetlistym kręgu ujrzała postać Zbawiciela na krzyżu, a obok wznoszące się w blaskach trzy Hostye, podczas gdy równocześnie dał się słyszeć głos:

— Bierz i pożywaj, to jest Ciało moje! — a dzień dzisiejszy niechaj będzie poświęcony czci Mojej po wszystkie dni istnienia świata.

Przejęta niebiańskim zachwytem i pobożną trwogą, opowiedziała Marya zakonnikom o tem cudownem widzeniu. Ci jednak przyjęli tę opowieść z niedowierzaniem; gdy jednak owe cudowne zjawisko trzykrotnie się powtórzyło, poznali wolę Ukrzyżowanego i dzień ten postanowili uroczyście święcić, zwąc go dniem Bożego Ciała.

Od chwili tego pamiętnego zdarzenia aż po dzień dzisiejszy w każdym klasztorze Wizytek odbywa się bez przerwy nieustająca adoracya Ukrzyżowanego Zbawiciela, utajonego w Naj. Sakramencie Ołtarza. Kościół zaś katolicki przyjął to święto i zatwierdził, a chcąc je jeszcze uroczystszem uczynić, pomny słów swojego Boskiego założyciela: »A kto Mnie wyzna jawnie przed ludźmi, wyznam go i Ja przed Ojcem Moim, Który jest w niebiesiech. Ktoby zaś wyparł się mnie przed ludźmi, wyprę się go i Ja przed Ojcem Moim«, urządzał i urządza uroczyste nabożeństwa nietylko wśród ścian kościołów, lecz głosi cześć Ukrzyżowanego jawnie i publicznie w ten sposób, że w różnych miejscach wiosek, miasteczek i miast zdobi ołtarze.

Przed każdym z tych czterech ołtarzy odczytuje kapłan jedną Ewangelię śś. Jana, Łukasza, Mateusza i Marka, a lud pobożny, chcąc jawnie i publicznie wśród innowierców i pogan uczcić Ukochanego Zbawcę, wyznać go przed ludźmi i dać świadectwo prawdzie, że tylko On Jeden i Jedyny ma prawo panować zawsze i wszędzie, bierze udział w tych uroczystych procesyach i śpiewa:

Zróbcie Mu miejsce, Pan idzie z nieba!

Teofil Tryczyński.

Obłąkany derwisz.



Narody wyznające religię Mahometa więc Turcy, Egipcyanie, Arabowie mają wiele wierzeń i przesądów, rozpowszechnionych szczególnie między ciemnemi masami ludu. Między innymi wielkiej czci doznają derwisze. Nazywają się tak w krajach mahometańskich pustelnicy, niektórzy naprawdę pobożni i światobliwi, inni poprostu oszuści, wyzyskujący ciemnotę i łatwowierność ludu. Do obrządku derwiszów należy także dziki, szalony taniec, wśród którego tracą oni nieraz przytomność, padają na ziemię i wiją się jakby w konwulsyach. Są wśród derwiszów tak zwani bizuni, chodzący nago za jałmużną. Stąd przysłowie: »goły jak bizun«. Największej jednak czci doznają od wiernych mahometan derwisze obłąkani. Ludzie ci w postrzępionych, odartych szatach, z potarganemi włosami, z błędnym i zapatrzonym gdzieś w oddale wzrokiem wydają się im istotami szczególnie przez niebo umiłowanemi. Gdy taki derwisz znajdzie się przed świątynią, tłumy garną się doń, z nabożeństwem słuchają szalonych niedorzecznych kazań, opowiadań o cudach i objawieniach, śpiewów obłąkanych i okrzyków, całują ręce i stopy derwisza. Wszyscy mężczyźni, kobiety, dzieci, z uniesieniem garną się do szaleńca, składają mu dary, błogosławią. Ale zdarzają się i sprytni derwisze, którzy nie będąc obłąkanymi, wyłudzają w ten sposób pieniądze i podarunki, i w duchu kpią z naiwnych. Takiego obłąkanego derwisza na stopniach świątyni w otoczeniu wiernych mahometan z czcią i religijnem przejęciem całujących mu ręce i oddających usługi, przedstawia nasz obrazek. Nam takie zachowywanie się mahometan dziwnem może się wydawać, ale zdarzyćby się również mogło, że ci sami mahometanie dziwiliby się niektórym naszym zwyczajom i zabawom a nieraz i modlitwom.

Na falach rzeki.

(Legenda).

Dawno już temu, bardzo dawno, kiedy jeszcze żył stary Pałucki i był rotmanem, czyli przewodnikiem flisaków, którzy rozmaity towar spławjali Sanem i Wisłą do Gdańska. W zgrabnej, lotnej łodzi płynął naprzód przed tratwami, wskazując im kierunek, którędy sterować mieli.

Wszystkich ożywiała nadzieja zarobku. Spieszyli się więc i dobrej byli myśli. Cały świat ich nie obchodził. Wieczorem, wracając do domu, spotkali na drodze nieznaną sobie niewiastę przedziwnej urody. Znać było, że jest zmęczoną i cierpiącą, widocznie długą przebyła drogę.

Pytała, czyby jej kto nie przewiózł na brzeg przeciwny?

— Prom nie idzie teraz, niewiasto, objaśnił jeden z flisaków. Fala wielka, topielica na każdym nurcie!

— Wiem o tem, odrzekła niewiasta, dlatego też nie byłam w chacie przewoźnika, ale do was zwracam się z prośbą!

— Ho, ho! — odezwał się rozolutnie jeden — kiepsko się obliczyłaś... Cóż znaczy marna łódź wobec wielkiego promu przewoźnika? Tyle co łupina orzecha wobec chaty!

— Czasem łupina mocniejsza od chaty!

— Cóż wam tak pilno, niewiasto? — spytał inny.

— Widzicie, że woda wielka i łakoma ludzkich ofiar — odezwał się drugi.

— Chodźcie do mojej chaty, przenocuję was w ciepłej izbie — ofiarował się inny.

— Może tak będzie najlepiej — potwierdziło kilku.

— Kiedy ja dziś muszę przeprawić się na drugą stronę! — odrzekła błagalnie niewiasta.

— Czekają mnie w tamtej chacie, muszę mieć miłosierdzie dla chorych, miejcież i wy dla mnie...!

— Mrok coraz ciemniejszy zapada, fala zdradliwa jest i głęboka, któż się odważy wyzywać wodne potęgi przeciw sobie?!

Tak mówili flisacy i powoli odchodzić poczęli.

Westchnęła niewiasta boleśnie.

Stary Pałucki nic nie mówił, lecz, kiedy tamci rozchodzić się poczęli, przystąpił do niewiasty i rzekł:

— Skoro ci pilno do chorych, to ja cię przewiozę!

Ostatni z flisaków odwrócili się, słysząc te słowa. Dziwno im było, że ich przywódca ofiarował się na tak niebezpieczną przeprawę.

— Ojcze retmanie, nie kwapcie się — zawołali. Czyż do rana daleko? Wiatr zimny pociąga i głuszy szum wirów, ani spostrzeżesz, jak wpadniesz w bezdenną przepaść...!

— Kiedy prosi, kiedy do chorych się spieszy... A czy wiecie, co znaczy ulżyć choremu cierpienia?

Zamilkli flisacy i wzruszyli ramionami. Jeden z nich zawrócił się. Był to Boguchwał, najmłodszy z flisaków. Żal mu było starca, chciał mu więc dopomódz w odczepieniu łodzi.

— Kto wie, jak tam wypadnie ta wyprawa? — mówili między sobą starsi. — Rotman praktyk jest, nie da się więc zjeść w kaszy. Żaden z nas nie pojechałby za worek złota, a on jedzie za darmo, przez głupie miłosierdzie, dla niewiasty nieznanej! A no, pójdę mu jednak opatrzyć łódkę i wiosło podać...!

Wstąpił w czołno Pałucki i wskazał niewieście miejsce na ławce. Boguchwał podał mu wiosło, czołno odwiązał i odepchnął na fale.

— Szczęśliwej drogi, ojcze rotmanie! Płyń ostrożnie i wracaj szczęśliwie do nas.

— Dziękuję ci za pomoc, Boguchwale!

— Ilekroć puścisz się na wodę, zawsze wrócisz szczęśliwy — rzekła mu na pożegnanie niewiasta!

Stał chwilę Boguchwał nad brzegiem, przeżegnał się i zawrócił ku domowi. Gdy wspiął się na stromy brzeg, odwrócił się i ujrzał, jak twarz niewiasty płonęła jasnością różową niby jutrzenka zaranna, szaty zaś jej miały światłość bladą, spokojną, by blask księżyca. A światłość ta biła na szeroko rozlane wody Sanu i wskazywała rotmanowi drogę.

Zdziwił się stary Pałucki tej jasności dziwnej a nigdy w życiu nie widzianej. Nic jednak nie rzekł i pracował zapamiętale. Przybył do małego wzgórza na drugim brzegu, osadził łódź i rzekł:

— Teraz możecie wysiąść; umyślnie aż tu zawinąłem, bo stąd bliżej do osady, gdzie was potrzebują chorzy.

Wystąpiła niewiasta na suchy brzeg i odwróciła się do litościwego człowieka. Twarz jej jaśniała dziwną pięknością, spokojem, powagą. Patrzył w nią stary rotman, jak w tęczę.

Dużo świata zjechał, ale tak urodziwej nie widział niewiasty. Co za wdzięk, co za słodycz i powaga, co za naturalność! Czy śnię, czy marzę? Czy niewiastę przewoziłem, czy ducha? Wtem odezwała się niewiasta:

— Dziękuję ci ojcze Pałucki. Serce wasze szczere i uczciwe. Za ową litość chrześciańską, Bóg cię wynagrodzi; łódka twoja odtąd nie zlęknie się burzy, ani wirów, ani fali. Wracaj teraz do domu.

Chciał dziękować stary, chciał patrzeć dalej w to nadziemskie oblicze błogosławionej, ale rozkaz ostatni brzmiał mu w uszach jakoś stanowczo i uroczyście. Zawrócił więc łódź i skierował ku domowi. A światłość dziwna jakaś blada i spokojna biła od owej niewiasty i wskazywała mu drogę. Mrukliwe fale przewalały się około niego, głęboki wir zaszumiał i zapadał się w przepaść, wiatr nerwowy podniósł powierzchnię wody i znów ją rzucił gwałtownie w głębinę. Patrzył na to wszystko Pałucki, ale nie czuł obawy. Dźwięczały mu w uszach łagodne słowa niewiasty:

Łódka twoja niczego się nie zlęknie!

Wreszcie dobił do rodzinnego brzegu i przywiązał łódź na zwykłym miejscu. Obejrzał się, a postać niewiasty szła dalej i dalej, i niby słup ognisty rzucała światło przez całą drogę aż do jego stóp. Przeżegnał się i rzekł:

— Chyba już niema wątpliwości, że miałem szczęście przewozić na mojej łodzi N. P. Maryę.

Wspinając się ku stromemu brzegowi, nucił z cicha:

— »Witaj gwiazdo morska«...

Obrócił się na wyniosłości brzegu, ale już światłości nie zobaczył. Po chwili błysło jakieś światełko silne nad którąś chatą i zniknęło, nie pokazując się więcej.

Pałucki wrócił do domu szczęśliwy i żył długo, a ilekroć płynął po wodzie podczas burzy, zawsze łódka jego wymykała się szczęśliwie piętrzonym bałwanom wodnym. Podczas gdy inni tonęli, znajdując śmierć w nurtach Sanu lub Wisły, on zawsze szczęśliwie uszedł śmierci. A również i Boguchwał cieszył się tą samą opieką Błogosławionej.

Po śmierci Pałuckiego, łódka przywiązana na zwykłym miejscu, została jakąś niewidzialną siłą odepchnięta na fale, i płynąc tak swobodnie, zniknęła i już jej potem nikt nie widział.

Marya Wawrzyk.

Powróciła wiosna.

Powróciła cudna wiosna
I z uśmiechem swym radosna
W błogi znów prowadzi raj...
Z takich długich chwil tęsknoty
Cały blaskiem słońca złoty,
Przyszedł znów rozkoszny maj.

Na zielone pól kobierce
Złoty promień padł w iskierce
Skrzy się upojona błoń.
Kwiatów dumne gnie kielichy
Wietrzyk rozmarzony, cichy;
Słodką wszerz roznosi woń.

Wszystko się pod słońcem pali...
Słychać ptasząt gwar w oddali;
Ścichły szmer radosnych drzew.
Wszystko w jeden hymn się zlewa:
Każda trawka — listek z drzewa —
W jeden nieskończony śpiew!

Drży i na te spływa lasy,
Pełne wdzięku, pełne krasy,
Co prą swe wierzchołki wzwyż
Rozkosz jakaś jest w naturze:
W tej dolinie — na tej górze.
Gdzie lśni Chrystusowy Krzyż.

Czar, westchnienie — uczuć kwiaty
Niosą duszę hen w zaświaty —
W jakąś niezmierzoną dal...
I choć w biedne serce trąca
Balsamiczna woń kojąca,
Jakiś drży na duszy żal..

O Anielska zejdź Królowo!
Blaskiem zorzy purpurową
Okaż swą prześliczną skroń.
Zejdź, i ukoj ból na chwilę,
Co nas dręczy przez lat tyle —
Ku nam swą wyciągnij dłoń!

Ks. Kazimierz Wiśniewski.

Nosił wilk — ponieśli i wilka.

Humoreska.

Było to w takim kraju, w którym porządnym i uczciwym ludziom było źle i gnili po kryminałach a złodzieje i bandyci chodzili po świecie, kradli i mordowali bezkarnie.

W kraju tym żył biedny człowiek, który jako cały majątek, prócz kilku mórg lichej ziemi, miał żonę, wołu i cielę. Kiedy przyszło płacić podatki okazało się, że niema w domu ani grosza. Po naradzie z żoną postanowił sprzedać wołu, aby uzyskanym groszem zapłacić zaległą należytość.

Wziął więc wołu na powróz i powiódł na jarmark. W mieście obskoczyli go złodzieje i pytają:

— Człowieku, ile chcesz za to cielę?

— Ależ to nie cielę, tylko wół — odparł chłopek. — A ceni się sześćdziesiąt rubli.

— Co, sześćdziesiąt rubli? — zakrzyknęli złodzieje. — A przypatrzże się człowiecze, iż to nie wół, ale cielę i więcej nie warte ponad trzy ruble! Coś się wam w oczach zmieniło.



Mówiąc to, kupcy poczęli wpychać do rąk oszołomionego chłopka pieniądze, gdy tymczasem inni wyrywali z rąk jego wołu. Zakrzyczany chłopek nie mógł przyjść do słowa, ani od napaści obronić. Bojąc się, aby złodzieje, wziąwszy wołu, nie zabrali i pieniędzy, wziął trzy ruble i poszedł do domu.

Wracając, począł nabierać przekonania, iż przez pomyłkę zamiast wołu wziął cielę. Lżej się mu trochę na sercu zrobiło, więc przyspieszył kroku.

Przyszedłszy jednak do domu, zaglądnął do obórki i ku nowemu strapieniu spostrzegł, że cielę najspokojniej stało w stajni.

Opowiedział żonie cały wypadek. Ta rozgniewała się bardzo, skrzyczała go porządnie, ale jako rozsądna kobieta poznała, że nietyle tu winy męża, co bezprawia, panującego w kraju.

Małżonkowie poczęli radzić, a wynikiem tej narady było postanowienie sprzedaży w przyszłym tygodniu cielęcia. Gdy dzień targowy nadszedł, wybrał się małżonek z cielęciem na targ.

W miasteczku obskoczyli go natychmiast ci sami złodzieje i poczęli targować cielę. Tłómaczył im chłopek, że to nie cielę, ale wół, gdyż w zeszłym tygodniu cielę od niego kupili, ale złodzieje go wyśmiali i jęli się odgrażać, że mu za kłamstwo skórę wygarbują. Za cielę ofiarowywali, jak w zeszłym tygodniu, tylko trzy ruble, pod warunkiem, że im jeszcze wódki zapłaci.

Zgodził się na to chłopek i wyznaczył miejsce, gdzie się mają spotkać na poczęstunek. Opuściwszy złodziei, udał się do jednego, drugiego i trzeciego szynku, zostawiając wszędzie po rublu z prośbą, aby, gdy ponownie przyjdzie z kilku panami, dano mu wódki za zostawionego rubla.

— Gdy wypijemy za rubla — mówił — to ja ukłonię się kapeluszem, a pan powie mi tylko:

— Dziękuję!

W oznaczonym czasie i miejscu oczekiwali na niego złodzieje. Chłopek poprowadził ich do pierwszego szynku, kazał dać wódki i gdy już wypili za całego rubla, ukłonił się szynkarzowi. Ten wyrzekł:

— Dziękuję!

Tak samo wszystko odbyło się w drugim i trzecim szynku. Zdziwieni złodzieje pytali chłopka, jakim się to sposobem dzieje, że on rozkazuje, pije a za całą zapłatę kłania się tylko kapeluszem.

— To już w moim kapeluszu taka siła — odparł chłopek.

— Sprzedajcie nam ten kapelusz — poczęli namawiać złodzieje.

— Nic to sprzedać — rzekł chłopek — ale kapelusz ten mnie samego kosztował 500 rubli, a do tego trzeba za niego odrazu gotówką zapłacić.

— Zapłacimy — odparli złodzieje — lecz musicie coś spuścić.

Targ w targ kupili złodzieje kapelusz za 450 rubli. — Chłopek wziął pieniądze, popłacił podatki i śmiał się ze złoczyńców, ale w miasteczku więcej się nie pokazał.

Władysław Cyranowski.

ROZBITKI Z BALONU.

ROZDZIAŁ III.

Co znaleziono. — Noc. — Kilka listów. — Dalsze poszukiwania. — Straszne niebezpieczeństwo. — Harbert. — Na brzegu. — Odjazd. — Niepogoda. — Instynktownie. — Zgubienie drogi. — Światło w porę.

W chacie było ciemno. Podróżni stali chwilę w milczeniu, poczem Penkroff zawołał głośno:

— Jest tu kto?

Nie było odpowiedzi. Marynarz skrzesał ognia i zapalił suchą gałązkę. Przy jej świetle ujrzano małą izbę, jak się zdawało, całkiem opuszczoną, w głębi której znajdował się komin z wystygłym już popiołem i kilku kawałkami drzewa. Penkroff rzucił na nie zapaloną gałązkę, drzewo zapaliło się i żywy płomień oświetlił wkrótce izdebkę.

Spostrzegli wówczas łóżko, a na niem pożółkłe od wilgoci poduszki i kołdry, co dowodziło, że już dawno nikt na niem nie spoczywał. W jednym rogu komina leżały rdzą pokryte dwa żelazne garnki i kociołek; przy ścianie stała szafa a w niej wisiało na pół zbutwiałe marynarskie ubranie; na stole leżało cynowe nakrycie na jedną osobę i biblia. W kącie izby stały narzędzia robocze, jak motyka, łopata, drąg żelazny i dwie strzelby myśliwskie, z których jedna zepsuta. Na półce, przybitej do ściany, stała baryłka prochu, druga śrótu i kilka pudełek z wędkami. Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu.

— Pustka — rzekł reporter.

— Panie Spillet — odezwał się Penkroff — sądzę, że lepiej będzie, jeżeli zamiast wracać na statek, przepędzimy tu noc dzisiejszą.

— Masz słuszność — odpowiedział Spillet — tem więcej, że choćby gospodarz domu wrócił, nie rozgniewa się o to, że nas tu zastał.

— Nie wróci już — rzekł marynarz.

— Czy sądzisz, że opuścił wyspę?

— Nie. Gdyby ją opuścił, zabrałby z sobą broń i sprzęty, bo wiesz pan dobrze, jak wielką cenę przywiązuje każdy rozbitek do tych rzeczy, które były dla niego prawdziwym skarbem. Nie! — powtórzył marynarz z głębokiem przekonaniem — on jest dotąd jeszcze na wyspie, żywy lub umarły. Jeżeli on umarł, to niepodobna przypuścić, aby się sam pochował, znajdziemy więc przynajmniej jego kości.

Korzystając z zapasu drzewa, leżącego w chacie, dołożyli go do ognia, aby na wszelki wypadek nie pozostali w ciemności; zamknęli drzwi i usiadłszy na ławie, postanowili tak doczekać rana.

Dzień zaświtał wreszcie i mogli przyjrzeć się dokładnie chacie. Była zbudowana na pochyłości małego wzgórza, pod osłoną kilku drzew akacyi. Wycięta wprost jej okien dość szeroka i prosta droga, odsłaniała widok na morze. Na pierwszy rzut oka można było domyśleć się, że za materyał do zbudowania chaty służyły deski z jakiegoś rozbitego okrętu, a niepodobna już było wątpić o tem, gdy Spillet spostrzegł na jednej litery:

BR.TAN.A.

— »Brytania« — rzekł przywołany tam Penkroff — jest to nazwa, wspólna bardzo wielu statkom; trudno więc domyśleć się nawet, czy był angielskim lub amerykańskim.

— Mniejsza o to, Penkroffie.

— Tak, mniejsza o to — odpowiedział marynarz — bo jeżeli ktoś z jego osady pozostał dotąd przy życiu, zabierzemy go ze sobą, nie pytając się o jego narodowość! Zanim jednak rozpoczniemy dalsze poszukiwania, powróćmy pierwej na chwilę na pokład »Bonawentury«.

Towarzysze zgodzili się i we dwadzieścia minut później byli już na wschodniem wybrzeżu, gdzie statek stał na kotwicy. Penkroff odetchnął swobodniej, ujrzawszy go, gdyż pomimo, że sam uważał to za nieprawdopodobne, przychodziła mu jednak myśl, że jeżeli ktoś znajduje się na wyspie, to mógłby sobie przywłaszczyć »Bonawenturę« i odpłynąć, pozostawiając na wyspie prawnych właścicieli.

Weszli na statek i zjedli tak obfite śniadanie, że mogli bezpiecznie czekać do wieczerzy. Następnie puścili się na dalsze poszukiwania. Gdy jednak przez kilka godzin trudzili się napróżno, doszli do przekonania, że jeżeli nieszczęśliwy rozbitek zakończył na wyspie życie, to dzikie zwierzęta musiały pożreć nawet kości jego.

— Odpłyniemy stąd jutro o świcie — rzekł Penkroff do towarzyszów, odpoczywając wraz z nimi około godziny drugiej w cieniu sosen.

— W takim razie nie traćmyż czasu — rzekł Harbert.

— Tak, nie traćmy czasu — odpowiedział Penkroff. — Ty, Harbercie, zajmij się zebraniem jarzyn, ponieważ lepiej znasz się na tem od nas, a my tymczasem postaramy się schwytać kilka sztuk nierogacizny. Mam nadzieję, że nam się to uda nawet bez pomocy Topa.

Stosownie do tego rozporządzenia Harbert udał się drożyną, wiodącą do uprawnej części wyspy, a dwaj jego towarzysze weszli do lasu. Mnóstwo pięknych okazów trzody chlewnej uciekło, dając dowody niezwykłej zwinności, jednak po półgodzinnem ściganiu udało się schwycić parę tych zwierząt. Wpadły one między tak gęste krzaki, że się z nich od razu wydobyć nie mogły. Jednocześnie o sto kroków dalej odezwały się głośne krzyki, pomieszane z przerażającym odgłosem, podobnym do jakiegoś chrapliwego ryku. Penkroff i Spillet wyprostowali się, a świnie, korzystając z tego, uciekły.

— To głos Harberta — zawołał reporter.

— Biegnijmy — krzyknął Penkroff.

Biegli najspieszniej i za zakrętem drogi spostrzegli, że jakieś dzikie stworzenie, niby małpa olbrzymia, przewróciła Harberta i nie dozwalała mu się poruszyć, jakby go udusić chciała. W mgnieniu oka Gedeon i Marynarz rzucili się na potwora, wydarli mu Harberta, powalili o ziemię i pomimo oporu tak silnie skrępowali powrozami, które miały służyć do wiązania trzody chlewnej, że nie mógł się nawet poruszyć.

— Czy ci się nie stało co złego, Harbercie — zapytał Gedeon Spillet.

— Nie, nie.

— A! gdyby cię zraniła ta przeklęta małpa! — wykrzyknął Penkroff.

— Ależ to nie małpa! — zawołał Harbert.

Penkroff i Gedeon spojrzeli uważnie na dziwną istotę, leżącą na ziemi. Rzeczywiście nie była to małpa. Był to człowiek. Ale jaki człowiek! Człowiek dziki, w najgorszem znaczeniu tego wyrazu, człowiek, który doszedł do najwyższego stopnia zezwierzęcenia.

Włosy najeżone, broda rozczochrana i spadająca do pasa, ciało prawie nagie, z wyjątkiem łachmana obwiniętego koło bioder, oczy dzikie, ręce ogromne, paznogcie grube i niezmiernie długie, cera przypominając świeży machoń, skóra na nogach twarda jak róg; oto obraz upośledzonej istoty, która miała jednak prawo nazywać się człowiekiem! Pomimo woli nasuwało się pytanie, czy w tem ciele ukrywa się jeszcze dusza, czy nie ożywiają go tylko same zwierzęce instynkty?

— Czy pewnym jesteś, panie Spillet, że to jest a przynajmniej był kiedyś człowiek? — zapytał się Penkroff.

— Niestety! nie ulega to wątpliwości — odpowiedział reporter.

— Czyżby to on miał być tym rozbitkiem, którego szukamy? — zapytał Harbert.

— Tak — odrzekł Gedeon — lecz nieszczęśliwy nie ma w sobie już nic ludzkiego!

Reporter miał słuszność. Widocznem było, że jeżeli nieszczęśliwy był kiedyś człowiekiem cywilizowanym, to długa samotność uczyniła go dzikim, a nawet gorzej jeszcze, bo zdziczałym. Z gardła jego przez zęby zaciśnięte i ostre, jak u mięsożernych zwierząt, wychodziły jakieś chrapliwe dźwięki. Pamięć musiał utracić już dawno, i od dawna także zapewne nie umiał już używać narzędzi, broni, ani też rozniecić ognia. Znać było, że jest silny, zręczny, zwinny, lecz zarazem, że te fizyczne przymioty rozwinęły się w nim kosztem przymiotów duchowych.

Gedeon Spillet przemówił do niego. Zdawało się, że nietylko nie rozumie, lecz i nie słyszy. Jednak, gdy reporter patrzył w jego oczy, zdawało mu się, że myśl i rozum nie wygasły w nim zupełnie.

Leżał spokojnie na ziemi, nie usiłując rozerwać krępujących go więzów. Reporter przyglądał się mu długo z nadzwyczajną uwagą, a potem rzekł:

— Jakimkolwiek jest obecnie, jakimkolwiek był dawniej i jakimkolwiek będzie, obowiązek nakazuje nam zabrać go z sobą na wyspę Linkolna.

— O! tak, tak! — zawołał Harbert. — Może przy troskliwych staraniach potrafimy w nim wzniecić iskierkę rozumu.



...niby małpa przewróciła Harberta.

— Dusza nie umiera — rzekł reporter — a dla nas będzie to prawdziwa radość, jeżeli zdołamy podźwignąć bliźniego z upadku i zezwierzęcenia.

Rozwiązano więźniowi nogi, lecz ręce jego pozostały silnie związane. Wstał sam i nie okazywał ochoty do ucieczki, rzucał ostre spojrzenia na obok idących i nic w nim nie zdradzało, że wie o tem, iż jest lub był do nich podobny. Z ust jego wydobywało się jakieś syczące świstanie; cała powierzchowność była nacechowana jakąś srogą dzikością, ale nie opierał się wcale.

Odprowadzono biedaka na statek, gdzie pozostał pod strażą Penkroffa. Harbert i Gedeon wrócili na wysepkę dla zabrania różnych potrzebnych rzeczy. W kilka godzin później wrócili na statek, niosąc broń i narzędzia z chaty, nasiona różne, kilka par trzody chlewnej i kóz.

Więzień, umieszczony w jednym z pokoików pod pomostem, sprawował się cicho, spokojnie, zdawał się być głuchym i niemym. Gdy Penkroff przyniósł mu posiłek, odepchnął od siebie mięso pieczone, od którego odwykł widocznie; zaś gdy marynarz pokazał mu surową dziką kaczkę, rzucił się na nią i pożerał ze zwierzęcą chciwością.

Noc przeszła spokojnie. Nazajutrz o świcie wiatr się zmienił i zaczął wiać w pomyślnym kierunku; wzmógł się jednak, co znów utrudniało żeglugę. — O piątej rano podniesiono kotwicę i Penkroff zwrócił statek na północo zachód, aby płynąć w prostym kierunku do wyspy Linkolna.

Pierwszy dzień minął bez żadnego wypadku. Nieznajomy siedział spokojnie w swoim pokoiku; zdawało się nawet, że kołysanie statku oddziaływa nań zbawiennie. Może przypominało mu to jakieś wspomnienia z przeszłości, dość że siedział spokojnie, okazując prędzej zdziwienie, niżeli przerażenie lub niepokój.

Nazajutrz, 17 października, wiatr wzmógł się znacznie i wykręcił więcej ku północy, a zatem nie był już tak pomyślny. Penkroffa zaczął niepokoić stan morza, bałwany bowiem uderzały silnie o przód statku. Nie chciał niepokoić towarzyszów, lecz wiedział dobrze, iż przy takim wietrze nie zdołają dopłynąć w oznaczonym czasie.

Rzeczywiście, następnego poranku, już czterdzieści ośm godzin znajdowali się na morzu, a nic nie pozwalało wnosić, że zbliżają się do lądu. We dwadzieścia cztery godziny później nie widzieli jeszcze ziemi; płynęli pod wiatr a morze było burzliwe. Trzeba było ciągle manewrować żaglami, które niekiedy dotykały piętrzących się fal i płynąć w zygzak; dnia 18 fala morska zalała nawet pokład statku i byłaby z pewnością uniosła żeglarzy, gdyby ci nie przywiązali się na pokładzie.

Penkroff i towarzysze jego otrzymali wówczas niespodziewaną pomoc: nieznajomy wybiegł na pomost, jakby się w nim odezwał instynkt marynarza; widząc, że wszyscy są zajęci wydobywaniem się z dobrowolnych więzów, grubym kawałkiem drzewa wyszczerbił wystający nad pokładem bok statku, aby woda mogła spłynąć prędzej; gdy spłynęła zeszedł napowrót do swego pokoju, nie wymówiwszy ani słowa do zdumionych towarzyszów.

Penkroff przez cały dzień musiał walczyć z wiatrem i morskiemi falami; wkońcu zaczął się obawiać, czy nie zbłądził na tym ogromnym obszarze, na którym nie zdołałby już odszukać właściwej drogi. Nie tracił jednak nadziei i odwagi. Siedząc przy sterze, starał się przebić wzrokiem ciemności. Około godziny drugiej po północy zerwał się nagle, wołając:

— Ogień! ogień!

Rzeczywiście o jakie dwadzieścia mil na północo-zachód błyszczało żywe światło. Tam musiała być wyspa Linkolna, a ogień, zapalony przez Cyrusa Smitha, wskazywał gdzie jej szukać należy.

Penkroff przekonał się wtedy, że zboczył na północ, zmienił więc kierunek i płynął w prostej linii do światła błyszczącego w dali, jak gwiazda pierwszej wielkości.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Gawędy Wawrzka Obywały z Markiem Zakałą.

— Niechaj będzie pochwalony!...

— Na wieki wieków! Witajcie mój Wawrzonie Obywało i na ławie tu siadajcie!

— Dziękuję za przywitanie i co słychać, mój Zakało?

— Wszystko stare, mój sąsiedzie, u mnie też nowego mało! No cóż, gazetkę czytacie?

— Czytam świeży numer »Roli«. Właśnie o Maćku skończyłem, trzaby Kronikę powoli.

— No i cóż tam Maciek gada? — zapytał Wawrzek po chwili.

— Et, bzdura ta bajdy takie, na darmochę język sili. Każdego tylko obmówi, choć sam prawie nic nie warta; kobietom dotnie najbardziej, że się złoszczą gorzej czarta. Moja stara ciągle prawi, gdy słyszy Maćka docinki: Niepotrzebny on tu w »Roli«, żeby z kobiet robił kpinki! Napisałbyś Marek rychło do gazeciarzów od »Roli«, żeby nie plótł na kobiety, bo nas bardzo serce boli. Bo niema prawie numeru, by o baby nie zawadził, cóż my mu kobiety winny? żeby on się z nami wadził! Jak widać z jego portretu, sam nie warta i szeląga, to jeszcze porządnym ludziom na przekorę tu urąga. Ja sam to wam mówię szczerze, jakem jest Marek Zakała, że się mi ta mowa Bzdury odrazu nie spodobała. On ta niby prawdę bzdura, tylko mi trochę w głowie, że kobieta mi nie rada »ziora« na mnie, co się zowie, żem se na rok kupił »Rolę« a z nią Maćka przeklętego, któż pocieszy moją dolę? — Kumie, co to będzie z tego?

— Hej, mój Boże! co za ludzie! — mówi Wawrzek z fantazyą. — Cóż wam winien Maciek Bzdura? Tać on nie jest żadną bestyą, lecz parobek, jakich mało, choć figura, żal się Boże... mówić umie, jak przystało i któż mu dorównać może? Wy kumie pisać umiecie i gospodarz z was nie lada, ale czyli tak do śmiechu, tak figlarnie, jak wypada, potrafilibyście gadać? A tak prawdę pisać szczerze, a tak ładnie błędy karcić, aż się człek za boki bierze! Że kobietom prawdę trzepie, to nie wszystkie ma na myśli, tylko o babach niezdarach, to już ładnie on nakreśli. On ta kłamstwa nic nie pisze. On po służbach wytłuczony i zna niejedno pielesze i ludzi Wsi Zatracony. Zna on wszystkie obyczaje i zwyczaje bab we wiosce, i dziewuchy też poznaje, zatopione w swojej trosce. Jak wy ludzie tylko szczerze i z Bogiem będziecie żyli, to se z gadań Maćka Bzdury nie będziecie nic robili. Tylko taki żlić się będzie i gniewać na Maćka Bzdurę, komu to jego gadanie wlizie poprostu za skórę, lecz człowiek, co honorowo sobie w życiu postępuje, uśmieje się z Maćka zdrowo, »Rolę« zaprenumeruje.

— Mnie się zdaje, mój Wawrzonie, że wy to słusznie mówicie i ja Bzdurę teraz bronię i powiem wszystko kobiecie, coście mi rzekli, kumoszku. — A przebaczcie mi to szczerze, żem ta nakłopocił troszku, lecz teraz wszystko wam wierzę. Maćka Bzdury gadaninę będę czytał już z zajęciem. Ach, żeby to Maciuś Bzdura został kiedy moim zięciem! Bo wojskowo wysłużony, o ożenku pewno myśli. Może on tu do mej córki jaką petycyę nakryśli!...

— Et, kumoszku, bądźcie zdrowi, dość na dziś tej pogawędki!

Wyszedł Wawrzek i kieruje ku zagrodzie swój krok prędki.

Bartek z pod lasu.

Z TYGODNIA.

Dwieście pięćdziesiąt lat uniwersytetu lwowskiego. Dnia 29 maja obchodził uniwersytet we Lwowie uroczyście 250-letnią rocznicę założenia swego przez króla polskiego Jana Kazimierza. Na obchód zjechało się wielu uczonych i profesorów z całej Polski. W katedrze lwowskiej na uroczystem nabożeństwie ks. arcybiskup Bilczewski wygłosił podniosłą mowę, zastosowaną do tej pamiętnej daty w dziejach tej dawnej uczelni polskiej. Oprócz uroczystych zebrań, odbył się też tego dnia wieczorem olbrzymi pochód z pochodniami, złożony z 15.000 obywateli, zdążający do uniwersytetu, gdzie wygłoszono przemówienia.

Wielkie manewry konnicy odbędą się w tym roku w Galicyi na wschód od Sanu w okolicy Jarosławia. W ćwiczeniach wezmą prawdopodobnie udział pułki kawaleryi lwowskiego korpusu, które grupują się w dwóch dywizyach kawaleryi we Lwowie i Stanisławowie, a obejmują razem cztery brygady konnicy, pułki artyleryi konnej i stosowną liczbę oddziałów karabinów maszynowych kawaleryi. Być może, że w manewrach weźmie także udział dywizya kawaleryi w Jarosławiu.

Przyszły następca tronu we Lwowie. — W pierwszy dzień Zielonych świąt przybył z Kołomyi do Lwowa przyszły następca tronu w Austro-Węgrzech arcyksiążę Karol Franciszek Józef. Na przyjęcie arcyksięcia pięknie ozdobiono domy. Od dworca do pałacu namiestnikowskiego ustawiły się w ulicach szpalery młodzieży szkolnej, korporacye i stowarzyszenia. Na dworcu znaleźli się: marszałek, namiestnik, prezydent z radą miejską, delegaci różnych stowarzyszeń polskich i ruskich, naczelnicy władz i generalicya. O godz. 2 zajechał pociąg. Prezydent Neuman powitał arcyksięcia po polsku imieniem miasta, poczem arcyksiążę w krótkiej mowie podziękował. Wśród okrzyków »niech żyje!« wsiadł arcyksiążę do powozu z namiestnikiem. Popołudniu udzielał arcyksiążę posłuchań, wieczorem był na obiedzie u księcia Andrzeja Lubomirskiego, a następnie na balu u namiestnika. Nazajutrz arcyksiążę, po nabożeństwie, zwiedził muzeum Dzieduszyckich, poczem udał się na śniadanie do marszałka Badeniego do gmachu sejmowego. Stamtąd wraz z namiestnikiem udał się na strzelnicę miejską, gdzie go witał prezydent Neuman i członkowie Towarzystwa strzeleckiego w strojach polskich. Arcyksiążę oglądał skarbiec strzelnicy, poczem udał się na wyścigi. Po obiedzie u namiestnika odjechał do Kołomyi. Publiczność lwowska witała wszędzie arcyksięcia bardzo serdecznie.

Z Węgier. Sprawa reformy wyborczej, która spowodowała krwawe rozruchy w stolicy Węgier w Budapeszcie weszła już na drogę spokojnego porozumienia. Stronnictwa opozycyjne i rządowe godzą się, aby prawo wyborcze otrzymali wszyscy węgierscy obywatele, którzy umieją czytać i pisać i przekroczyli 24 rok życia. Liczbę wyborców ustalono na okrągło 2,400.000. Tajne głosowanie odbywać się będzie w miastach i wogóle w gminach, liczących ponad 15.000 mieszkańców, zaś w gminach wiejskich tam, gdzie 75 procent ludności umie czytać i pisać. Robotnicy rolni otrzymają prawo głosowania tylko wtenczas, jeżeli mają mieszkanie własne złożone co najmniej z pokoju i kuchni. U przemysłowych robotników tego warunku niema; natomiast żądaną jest przynależność do kasy chorych przynajmniej od 12 miesięcy. Analfabeci (tj. nie umiejący czytać i pisać) otrzymują prawo wyborcze tylko wtedy, jeżeli płacą co najmniej 20 kor. bezpośredniego podatku.

Niedola Chorwacyi. Pomimo ostrych wystąpień wszystkich stronnictw w parlamencie austryackim i delegacyi austro-węgierskiej, trwają w Chorwacyi dotąd żelazne rządy komisarza królewskiego, Cuvaja. Ponieważ sprawca niedoli Chorwacyi, prezydent ministrów węgierskich, hr. Khuen, ustąpił, po następcy jego spodziewają się, że przywróci Chorwacyi konstytucyę, ale na razie na to się nie zanosi.

Sprawa chełmska w rosyjskiej Radzie państwa. Uchwalona przez Dumę rosyjską krzywdząca katolików ustawa o wyłączeniu Chełmszczyzny weszła na porządek dzienny obrad Rady państwa, tj. Izby wyższej rosyjskiej. Polscy członkowie Rady państwa przemawiają przeciw ustawie, lecz losy jej zapewne przechylą się na naszą niekorzyść. Zwolennicy projektu wyłączenia zamierzają przemawiać w tej sprawie o ile możności najmniej, mając zapewnioną większość. Przewodniczący Izby oświadczył, że będzie się starał przyspieszyć rozprawy, tak, ażeby projekt w Radzie państwa mógł być w bieżącej sesyi już ukończony.

Zbrojenia morskie Rosyi. Po wojnie z Japonią, w której Rosya straciła prawie wszystkie swe okręty wojenne, zaraz przystąpiono do uzupełnienia floty. Zbudowanie jednak kilkunastu lub kilkudziesięciu olbrzymów wojennych morskich wymaga prócz milionowych wydatków, wielu lat. Rosya stopniowo więc buduje swe okręty wojenne. Obecnie rosyjskie ministerstwo marynarki żąda kredytu pół miliarda rubli, rozdzielone na 5 lat. W tym czasie zbudowane być mają 4 pancerniki, 4 krążowniki i wielka ilość rozmaitego rodzaju i typu łodzi do celów wojennych

Z wojny włosko-tureckiej. W gorącym klimacie Trypolitanii w obecnej, letniej porze prowadzić wojny Włochy nie mogą. Nastała też w niej przerwa. Poszukali więc sobie Włosi pociechy w zajęciu wysp tureckich Rodos i innych. Wojna wzięła kierunek, po którym Włosi obiecują sobie lepszych niż dotąd skutków i postawienia na swojem, który zaś państwom neutralnym znaczniejsze wyrządza i przygotowuje szkody gospodarcze, niż kiedy walka toczyła się w Afryce. Zajęcie wysp zwiększyło szkody przemysłowo-handlowe Austro-Węgier, gdyż w tych stronach wschodnich mają one stosunki. Zajęcie każdej wyspy jest stratą dla nich, która tylko częściowo da się powetować. Włosi bowiem dołożą starań podczas swojego pobytu, aby pozyskać ludność przeważnie grecką i zapewnić sobie przewagę handlową. Dziś już ubytki dla naszego handlu nie są obojętne. Wiele wielkich firm austryackich uskarża się, że zamówione towary leżą, wystawione na zepsucie, gdyż nie mogły ich przesłać. Ta strona handlowa może już w niedalekiej przyszłości wywołać zawikłania.

Powstanie w Marokku. Wszystkie plemiona w Marokku, w Afryce, połączyły się, aby wypowiedzieć wojnę wojsku francuskiemu. Toczą się ustawicznie krwawe walki z Francuzami. Powstańcy obwołali sułtanem Hameda Irbę, pochodzącego z rodziny królewskiej marokańskiej.

Wybory w Ameryce. Prawyborami w mieście New Jersey zakończyła się walka osobista między kandydatami na prezydenta Stanów Zjednoczonych Roeseveltem a Taftem. Prawie we wszystkich Stanach Roesevelt odniósł zwycięstwo. Jego agenci uważają nominacyę jego na prezydenta za pewną. Z drugiej strony zwolennicy Tafta twierdzą, że on ostatecznie uzyska większość.

Pierwszy chiński okręt wojenny. Dnia 31 maja odbyło się w Tryeście spuszczenie na wodę pierwszego okrętu wojennego chińskiego, zamówionego we fabryce europejskiej. Poseł chiński z Wiednia udał się na tę uroczystość do Tryestu.

KRONIKA.

Klęska powodzi. Smutnym był drugi dzień Zielonych Świąt dla niektórych wsi położonych nad Wisłą. Z powodu kilkudniowych nawalnych deszczów Wisła wezbrała, zatopiła domy, ogrody i łąki na szerokiej przestrzeni. Nnjwyższy stan wody był w nocy z poniedziałku na wtorek. Później deszcz ustał i woda zwolna jęła opadac. W poniedziałek świąteczny Wisła od Przegorzał aż do Bielan przedstawiała się jak jedno olbrzymie jezioro; zalała cegielnie i domy robotnicze w Przegorzałach. W niedzielę starostwo krakowskie wysłało statek parowy z oddziałem pionierów i pontonów w górną część Wisły do Czernichowa. Pośpiech w niesieniu pomocy był bardzo wskazany, gdyż woda zalała Kłokoczyn, Jeziorzany, Pasiekę, Kąty pod Bielanami. Do zalanych miejscowości wysłano też paręset bochenków chleba. W powiecie brzeskim Wisła wylała w wielu miejscowościach. Marszałek powiatu, poseł Götz-Okocimski, zarządził akcyę ochronną i wysłał urzędników Rady powiatowej do zagrożonych miejscowości. — Wieś Brzeźnica zagrożona została z dwóch stron klęską powodzi. Wylew miejscowego potoku dotknął tylko kilkunastu mieszkańców, natomiast Wisła zatopiła kilkadziesiąt gospodarstw, wyrządzając szkody powyżej 20 tysięcy koron. Woda na Wiśle wzbierała i podnosiła się do wieczora w poniedziałek, zaś najwyższy jej stan dosięgnął wysokości zaledwie 60 ctm. niżej, od wysokości wielkiej powodzi z przed dziesięciu lat. W nocy woda zaczęła powoli opadać. Na szczęście nie zaszedł żaden wypadek utonięcia.

(S. Z.) **Obchód konstytucyi 3 maja.** W Czermnej, w powiecie jasielskim, dnia 12 maja o godzinie 9 rano bito z moździerzy, następnie o godz. 10 wyruszył pochód z miejscowej szkoły, złożony z dzieci szkolnych i strażaków w strojach narodowych i z kosami w rękach do kościoła, gdzie odbyła się na ten cel uroczysta msza, którą celebrował ks. Piotr Drzewicki. Po sumie i kazaniu rozeszli się uczestnicy do domów. O godz. 3 popołudniu zebrano się w sali szkolnej, skąd po nieszporach wyruszył pochód, złożony z kosynierów, dzieci szkolnych i wiejskiej muzyki, której przewodniczył p. Andrzej Data. Pochód zatrzymał się pod wielką skałą, z której przemówił jeden z kosynierów, Andrzej Madejczyk. Następnie mówił jeden z chłopców, ubrany w płótniankę i jedna z dziewcząt w krakowskim stroju. Wreszcie odśpiewano kilka pieśni patryotycznych i pochód ruszył z powrotem do wsi, gdzie znowu przemawiał naczelnik gminy Ignacy Filipek i z dziewcząt Zofia Pers i Bronisława Data. Wkońcu kosynierzy, których naczelnikiem był Ludwik Kantor, ruszyli ku sali szkolnej, gdzie po odśpiewaniu »Boże coś Polskę« puszczano ognie sztuczne i już wieczorem zgromadzeni ludzie rozeszli się do domów, pokrzepieni na duchu. Na tem miejscu dziękujemy wszystkim, którzy się do tego obchodu przyczynili a szczególnie p. Kierownikowi ślemy staropolskie »Bóg zapłać«.

Piękny objaw. Donoszą ze Szczawnicy, że starostwo nowotarskie, którego dzielnym kierownikiem jest p. Grodzicki, chcąc wśród ludu góralskiego stawiać tamę opilstwu i okropnym skutkom, jakie ono sprowadza, wystosowało okólnik, który nadesłało również i do obu Szczawnic z wezwaniem, aby gromady tych gmin zastanowiły się, czy nie należałoby w niedziele i święta zamknąć wyszynków z oznaczeniem godzin zamknięcia? Ponieważ odpowiedź miała być przesłana do dni 8, więc też przez naczelników obydwóch Szczawnic, natychmiast zwołane zostały gromady, które zebrawszy się bardzo licznie z ochotą powzięły uchwałę, aby ze względu

na straszne skutki pijaństwa, wyszynki były zamykane, począwszy od godziny 9 wieczór dnia poprzedzającego niedziele lub święto, aż do godz. 6 rano następującego dnia roboczego. Widać stąd, że lud zdaje sobie należycie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie mu z tej strony zagraża, mimo zniesienia propinacyi. Niektórzy atoli podnoszą obawy, może i słusznie, że znajdują się tacy, co dołożą wszelkich starań, by tego rodzaju uchwały, tak pożyteczne dla ludu, a tylko im niedogodne, nie były zatwierdzone i nie weszły w życie. Mamy jednak nadzieję, że nasze władze w tym względzie ugiąć się nie dadzą.

Przykład godny naśladowania. Do jednej z redakcyi krakowskich zgłosił się niedawno temu podeszły wiekiem obywatel z Królestwa Polskiego i złożył hojny dar w sumie 500 rubli na cele TSL. Godne uwagi i wielkiego uznania są pobudki, któremi tłumaczył swoją ofiarność. Opowiedział, że przez całe życie palił cygara; przed dwoma jednak laty postanowił wstrzymać się od tego nałogu, pochłaniającego wiele pieniędzy, a sumy, które puszczał dawniej z dymem, przeznaczać na cele narodowe. Nie przyszło mu łatwo odzwyczajenie się od tytoniu, zakorzenione od lat dziesiątek. Jednak siłą woli się przezwyciężył i oto sumę odpowiadającą wydatkowi na cygara przez dwa lata, ofiarował na cele oświatowe. Ileżby dobrego można zrobić tak dla dobra ogólnego, jak dla własnych rodzin, ile łez otrzeć dalekim i bliskim, gdyby zacny ów obywatel (który zresztą nie życzył sobie, by podawać jego nazwisko w gazecie), znalazł wśród nas, którzy krocie co roku puszczamy z dymem, więcej naśladowców. — Bądź co bądź siła woli i szlachetna intencya owego obywatela zasługują na szczere uznanie. Przykład piękny i ze wszech miar godny naśladowania.

Olbrzymi pożar nawiedził 25 maja wieś Toki koło Zbaraża. Ogień wybuchł popołudniu przy silnym wietrze i w przeciągu niecałej godziny obrócił w perzynę 280 zagród włościańskich z dobytkiem. Jeden człowiek zginął w płomieniach, drugi skutkiem poparzeń walczy ze śmiercią. Szkody, jakie pożar wyrządził, oceniają na 1,200.000 kor. Były one tylko częściowo ubezpieczone. Między innemi zgorzały 2 szkółki i plebania rzymsko-katolicka.

Trzęsienie ziemi. Ze Śniatyna donoszą, że w sobotę 25 maja około godz. 7 wieczorem dało się odczuć w Śniatynie lekkie trzęsienie ziemi, trwające około 15 sekund, które dostrzegli wszyscy mieszkańcy. Policyant, pełniący służbę na wieży ratuszowej, doznał tak silnego wstrząśnienia, że zamierzał, mimo swej instrukcyi służbowej, wieżę bez poprzedniego telefonicznego zameldowania się u inspektora policyi samowolnie opuścić. Kilka osób opowiadało, że to wstrząśnienie połączone było z podziemnym hukiem.

Po pożarze kościoła. W dniu 31 marca b. r. z przyczyny niewiadomej spłonął w gminie Czyszkach, powiatu samborskiego, kościół parafialny. Cios to dla mieszkańców bardzo bolesny, zwłaszcza, że parafianie bardzo nieliczni, a jeszcze rozrzuceni śród Rusinów, z wielką trudnością mogą zdobyć się na jakiś datek; lud bowiem biedny, jak zwykle mieszkańcy okolicy podgórskiej, z roli swej zaledwie może wyżyć, a nawet po obcej ziemi musi szukać zarobku, by zapobiedz niedostatkowi. Zbudować kościół własnymi funduszami, to rzecz przerastająca jego siły, a kościół tak konieczny; wszak to jedyna ostoja wiary i polskości wśród zalewu ruskiego. — Składki na odbudowanie kościoła przesyłać należy do komitetu na ręce księdza Teofila Bukietyńskiego w Czyszkach, powiat Sambor.

(M. W.) **Obchód jubileuszowy ku czci ks. Piotra Skargi.** Z ramienia związku śląskich niewiast katolickich w Cieszynie odbył się w niedzielę dnia 12 maja uroczysty obchód jubileuszowy z okazyi 300-letniej rocznicy zgonu ks. Piotra Skargi. — Obchód rozpoczął się uroczystą sumą w kościele Serca Jezusowego, w czasie której śpiewał chór mieszany i chór dzieci pod kierownictwem p. Marka. Po sumie wygłosił ks. prof. Tomanek do licznie zebranych słuchaczy podniosłe kazanie okolicznościowe, w którem przedstawił zasługi ks. P. Skargi wobec Boga i narodu. Popołudniu o godz. 3 odbyły się uroczyste obchody w sali ratuszowej i w sali »Domu Narodowego«. Prolog wygłosiła profesorowa p. Eckertowa, poczem chór, pod kierunkiem p. Marka, odśpiewał śliczną kantatę i inne pieśni. Odczyt o ks. Skardze wygłosili: w sali ratuszowej ks. Haduch T. J., w Domu Narodowym ks. katecheta Grim. Bardzo się podobał śpiew p. doktorowej Buzkowej z Dąbrowy, która odśpiewała dwie pieśni »Nad mogiłą« i »Grób na puszcie«. Część muzyczną wypełniła doskonała gra na skrzypcach kilku pp. nauczycieli i p. Zaremby. Dwie uczenice polskiej szkoły wydziałowej oddeklamowały ładne wiersze: »Mowę polską« Wł. Bełzy i in. Obchód zakończono odegraniem obrazka scenicznego w trzech odsłonach z życia ks. Skargi przez ks. biskupa Wł. Bandurskiego p. t.: »Złote usta, złote serce«. Amatorowie oddali swe role ze zrozumieniem i przejęciem się, zwłaszcza rolę ks. Skargi. Cały obchód świadczył o wielkiej czci dla wielkiego kapłana. Komitet urządzający może być dumny z tej uroczystości. Serdeczna podzięka należy się Związkowi polskiemu niewiast katolickich w Cieszynie a przedewszystkiem niestrudzonej p. rejentowej Dyboskiej, od której wyszła myśl urządzenia obchodu.

Olbrzymi łosoś. Nie wszystkie ryby, zwłaszcza wielkie łatwe są do złowienia. Wielkie ryby bardzo silne i gwałtowne, łapie się, jak wiadomo, w sieci i tego rodzaju rybołowstwo nie jest trudnem. Ale znów nie każdy gatunek ryb idzie do sieci, żyjąc więcej przy brzegach i nie zapuszczając się na szerokie tonie w środku rzeki. Do ryb takich należy



łosoś; żyje on w naszych górskich rzekach, gdzie wszakże stanowi rzadkość. Lubownicy jednak polowania na łososie nie żałują trudu, aby taką piękną zdobyczą się pochwalić. Łapie się je na umyślne bardzo silne wędki, przymocowane na również mocnym sznurku. Gdy po długiem, często wiele godzin trwającem czekaniu, zapalony »wędkarz« poczuje silne szarpnięcie sznurka, pewnym już jest, że łosoś się złapał. Pociąga zrazu lekko za sznurek i za chwilę wynurza się w szybkim skoku wspaniała ryba. Ale łosoś jest tak mocny, że nie można od razu wyciągnąć wędki, bo skoro tylko poczuje, oprócz bolu w krtani, która silnie krwawi, że jakaś siła go ciągnie, szarpnie się tak, że i mocny sznurek przerwie i ucieknie. Trzeba więc, popuszczając swobodnie sznurka długo i szybko biegnąć za nim w stronę, w którą płynie. Dopiero, gdy często po dwu godzi-

nach, lub nawet dłuższym czasie z upływu krwi osłabnie, można powoli wędkę ściągać. Ale i wówczas rzuca się gwałtownie, długo i bezustanku aż wreszcie na pół martwy daje się wyciągnąć z rzeki. Takiego ogromnego łososia, wyłowionego zapewne z niemałym trudem i wielką zręcznością, przedstawia nasz obrazek.

(F. K.) **Śmierć górnika.** We wtorek, dnia 14 maja, zginął w kopalni »Żebraczy« w Dziedzicach, na Śląsku austr., 32 letni górnik, Wł. Piwowarczyk, ojciec 4 dzieci. Przed miesiącem przybył z Karwina do Żebraczy dla lepszego chleba, a znalazł śmierć. Rozsadzano mianowicie skały dynamitem i wskutek wstrząśnienia obsunęła się ściana, przywalając nieszczęśliwego, który doznał zgniecenia klatki piersiowej.

(F. K.) **Stare monety**. Dnia 15 maja w Dziećmorowicach, na Śląsku austr., bawiące się dzieci odkopały kamienną puszkę, w której znajdowało się 117 sztuk starych monet; według daty stwierdzono, że monety te liczą 300 lat.

(F. K.) **Z obawy przed karą.** Szeregowiec 31 pułku piechoty, A. Lorek, bawił na urlopie w Polskiej Ostrawie, na Śląsku austr., i samowolnie przedłużył go sobie. Z obawy przed karą popełnił samobójstwo w okrutny sposób. Mianowicie udał się do szybu Jakóba w Zarzubku i tam rzucił się wgłąb kopalni. Spadł do 500 metrowej głębokości. Ciało jego zostało zupełnie poszarpane.

(F. K.) **Włamanie**. W nocy z dnia 14 na 15 maja dokonano w Dziećmorowicach, na Śląsku austr., włamania w robotniczej spółce spożywczej, przyczem w ręce włamywaczy wpadło 120 kor. gotówką. Złodzieje użyli drabiny, aby dostać się z podwórza na wysoko położony parter. Tutaj porznęli szyby i dostali się do wnętrza. Skradzione pieniądze ukryte były w zamkniętem podstolu. Sprawców dotychczas nie wyśledzono.

(F. K.) **Oszust**. W Dziećmorowicach i okolicy kręcił się ostatnim czasem agent, nazwiskiem Dawid Löwy, który narzucał się ludziom ze sporządzaniem wielkich obrazów z fotografii, przyczem wyłudzał od obałamuconych zadatki nawet po 6 kor. Podawał on, że zastępuje zakład malowniczy F. Glosa w Wiedniu. Gdy kilku ludzi, zaniepokojonych zbyt długiem czekaniem na agenta, udało się do policyi wiedeńskiej o informacyę, nadeszła odpowiedź, że zakład podany przez oszusta, w Wiedniu nie istnieje, zadatki przepadły.

Kobieta kandydatem do sejmu Młodoczeskie reprezentacye miejskie miast Młodego Bolesława i Nimburga oświadczyły się przeciw kandydaturze literatki W. Kunczyckiej o mandat do sejmu czeskiego, opróżniony po śmierci Dr Skardy, i postawiły kandydaturę burmistrza Mattouska. Mimo to ogłasza młodoczeski komitet, że oficyalną kandydatką jest pani W. Kunczycka.

Wylew Dunaju. Wskutek długotrwałego deszczu, woda na Dunaju podczas Zielonych Świąt podniosła się z nadzwyczajną szybkością. Niżej położone dzielnice Wiednia stanęły pod wodą.

Wylewy na Węgrzech. Z wielu stron Węgrzech nadchodzą wiadomości o ogromnych wylewach, które wyrządziły milionowe szkody. W komitacie (starostwie) Lugos w mieście Riesiesa-banja stoi 500 domów pod wodą. Część ich runęła. W Lugos most zerwany. W wielu miejscach połączenie kolejowe przerwane. Rząd węgierski wyznaczył 300.000 K. na niesienie pomocy okolicom dotkniętym powodzią.

Żebrak mordercą. Jak donoszą pisma węgierskie, z miejscowości Doröcske niedawno temu jakiś nieznany, 40-letni żebrak, wszedł do mieszkania pewnej wdowy i prosił o jałmużnę. Wdowa mu dała kromkę chleba. Dziad, wściekły o to, że nie dostał pieniędzy, wyciągnął nóż z zanadrza i rzuciwszy się na kobietę, zadał jej kilka ran śmiertelnych na szyi i piersiach, poczem zbiegł.

Walka z alkoholem w Poznańskiem. Jak stwierdzają zgodnie pisma poznańskie, wśród tamtejszych robotników szerzy się coraz bardziej ruch wstrzemięźliwości. Zapoczątkował ten ruch niejaki ks. Antoniewicz, następnie przed dziesięciu laty zawiązał się związek księży, świetnie rozwijający się i towarzystwo zupełnej wstrzemięźliwości od napojów alkoholicznych »Wyzwolenie«. Należy do tego towarzystwa 2225 robotników; działalność jego rozciąga się na całe Poznańskie i na okręg westfalsko-nadreński, gdzie robotnicy polscy bardzo chętnie garną się do ruchu wstrzemięźliwości. Nie można, niestety, tego powiedzieć o robotnikach z Galicyi. Sami Niemcy, szczególniej hakatyści, przyznają polskiemu ruchowi zupełnej wstrzemięźliwości ogromne znaczenie i boją się tego ruchu. Miesięcznik »Świt« ma przeszło 1000 prenumeratorów, zaś ludowy i robotniczy »Przyjaciel trzeźwości« ma przeszło 3500 prenumeratorów. Jak w wielu innych, tak i w tym wypadku Poznańskie winno być dla nas przykładem!

Do niewoli. Podczas toczącej się obecnie wojny w Trypolisie, zdarzył się ciekawy wypadek. Oto gdy jednemu ze strzelców włoskich wyszły wszystkie naboje, nie opuszczał swego miejsca i leżał ukryty za pagórkiem, czekając na nieprzyjaciela, z którym mógłby rozpocząć walkę choćby nawet na pięści.



Niedługo na niego czekał; niczego nie spodziewający się Arab, przechodził właśnie obok kryjówki Włocha. Wtedy dzielny strzelec wyskoczył z ukrycia, chwycił Araba wpół i zaniósł go, mimo gwałtownego szamotania, i głośnych złorzeczeń i wykrzykiwań, do obozu włoskiego. Widzimy to na naszym obrazku.

Dyplomowana żona. Na wiecu kobiet w Berlinie, który się odbył w zeszłym miesiącu, poruszono między innemi, czy nie byłoby wskazane, by dziewczęta, chcące wyjść za mąż, poddawały się egzaminowi, celem stwierdzenia, czy są dostatecznie przygotowane do stanu małżeńskiego. Projekt ten jest dość osobliwy, a jednak Ameryka, przodująca we wszystkiem staremu światu, już go wyzyskała, zakładając w Nowym Jorku akademię dla kandydatek do małżeństwa. W szkole tej kandydatki, liczące przy wpisie 18 rok życia, otrzymują wykształcenie, potrzebne w życiu małżeńskiem. A więc w pierwszej linii uczą się obchodzenia z mężczyznami, nauki zaś w tym kierunku udzielają im »wypraktykowane« mężatki, żyjące już najmniej 10 lat w przykładnej zgodzie z małżonkiem. Nauka na następnych kursach obejmuje umiejętność wychowania dzieci, oraz gospodarstwo domowe. Po ukończeniu kursu uczenica otrzymuje dyplom. Takie »dyplomowane« żony są bardzo pożądane przez Amerykanów.

Szeregowiec milionerem. Wedle doniesień do pism niemieckich, szeregowiec Denker, służący w 107 pułku piechoty w Lipsku, otrzymał od sądu opiekuńczego powiadomienie, że jego rodzony wuj zmarł w Ameryce południowej, zostawiając majątek w kwocie 120 milionów marek. Ponieważ zaś do tego spadku jest upoważnionych wogóle 6 osób, przeto szeregowiec Denker stał się odrazu bogaczem, posiadającym 6 milionów marek. Podobne wydarzenia nie często się zdarzają.

Odpust w Częstochowie. Pomimo deszczu i niepogody, na uroczystość Zielonych Świątek, jako jeden z głównych odpustów, na Jasną Górę przybyło około dwudziestu tysięcy pielgrzymów. W sobotę przybyło 80 kompanij. Z większych kompanij przybyły: z Warszawy koleją i pieszo około 2000 osób, z Łodzi 2000, z Kowna 700, z Radzymina 400, z Łowicza 400, dalej z łomżyńskiego, z Chełmszczyzny, z Litwy, ze Śląska i z Moraw. W sobotę, niedzielę i poniedziałek kilkudziesięciu księży spowiadało w korytarzach klasztornych i na sali rycerskiej. Uroczystość rozpoczęła się nieszporami solennemi w sobotę. W niedzielę o godz. 5 zrana odbyła się prymarya przed Cudownym Obrazem, a następnie do sumy o południu wychodziły msze święte przy ołtarzach bocznych. Z powodu ulewnego deszczu i niepogody w pierwszy dzień świąt uroczystą sumę Ks. biskup Zdzitowiecki celebrował w kościele. W drugi dzień świąt Ks. biskup Zdzitowiecki celebrował sumę na zewnętrznym szczycie kościoła. Kazanie z wałów do zgromadzonej kilkunastotysięcznej rzeszy wygłosił Ks. Sikorski. Ks. biskup po południu w obydwa dni świąt udzielał wiernym Sakramentu Bierzmowania.

Straszny samosąd. W zapadłej wioszczynie Barice, w Rumunii, grono miejscowych robotników na zamówienie pewnej fabryki zobowiązało się dostarczać większej ilości węgla drzewnego. Zawiązano spółkę i rozpoczęto wspólnemi siły wypalać węgiel z zakupionego drzewa. We dnie wszyscy wspólnicy zajęci byli tą pracą, nocą zaś po dwóch z nich czuwało po kolei przy palenisku. Otóż przed niedawnym czasem nieszczęście chciało, iż dwaj wartownicy, na zwiskiem Bandiu i Gradescu, zasnęli w budzie, a tymczasem zerwał się wicher i żar z paleniska przerzucił na wielki stos gotowego już produktu. Cały mozolny dorobek wielotygodniowej pracy i nadzieję zysku pochłonęły płomienie. Tymczasem obaj wartownicy kamiennym snem spali w budzie.



Lecz blask wielkiej łuny pożarnej pobudził innych spólników w okolicznych chatach, którzy w popłochu zbiegli się na miejsce pożaru. Widząc, co się stało, wpadli w taką rozpacz i wściekłość, że wbiegli do budy i wywlókłszy z niej obu niedbałych śpiochów wepchnęli ich w fale ognia. Napróżno biedacy błagali o litość i próbowali wyrwać się z płomieni, rozwścieczeni towarzysze nie dali się zmiękczyć i nieszczęśliwi zginęli w ogniu.

Kłócący się królowie. Podczas pogrzebu króla duńskiego spotkali się ze sobą królowie szwedzki i norweski. Wielkie usiłowania czyniono, aby poważnionych królów pojednać. To się nie udało. Obaj królowie szli wprawdzie za trumną, ale rozdzielał ich młodszy brat. Król szwedzki starał się nie widzieć króla Hakona i zaraz po pogrzebie odjechał do Sztokholmu. Jak wiadomo Norwegia dopiero niedawno odłączyła się od Szwecyi, wybierając sobie własnego króla. Stąd pochodzą waśnie pomiędzy dwoma panującymi.

Nowa fundacya bogacza amerykańskiego. Miliarder Carnegie, który już kilkaset milionów ze swego olbrzymiego majątku przeznaczył na cele dobroczynne, ofiarował włoskiemu bankowi narodowemu 4 miliony koron. Procenta od tej sumy mają być corocznie wypłacane tym osobom, które z narażeniem własnego życia wyratowały od śmierci swych bliźnich, znajdujących się w niebezpieczeństwie.

Jaki będzie czerwiec? Jak głoszą przepowiednie, miesiąc czerwiec rozpocznie się powietrzem ostrem, które zaraz ustąpić ma pogodzie cieplejszej. Od 8 nastąpią dni ciepłe, po nich deszcz i ponowne ochłodzenie. W połowie miesiąca ciepłota obniży się tak, że w nocy będą szrony, poczem nastąpi znowu piękna pogoda. Od 23 rozpocznie się szereg dni chłodnych, później przyjdzie deszcz i miesiąc zakończy się dniami ponurymi i zimnymi.

„Poradnika teatrów i chórów włościańskich“ zeszyt 5. za miesiąc maj b. r. pojawił się w druku i obejmuje treść następującą: Dokończenie sztuki A. Staszczyka p. t. »Bartosz Głowacki«, część drugą artykułu prof. Pilcha: »O początkach dramatu greckiego« i zajmujące »Zapiski reżysera« pióra Franciszka Kruczkowskiego. W »Przeglądzie sztuk do grania« znajdujemy oceny p. J. M. i Dr. Jerzego Kollera. Na resztę numeru składają rubryki: Z pism i książek, Kronika teatralna, Wiadomości o sprawach »Związku teatrów i chórów włościańskich« oraz odpowiedzi komisyi literackiej.

Zgromadzenie delegatów „Wisły“. Dnia 25 maja odbyło się Walne Zgromadzenie Delegatów »Wisły«, ludowego Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń we Lwowie, przy udziale Eks. ministra Długosza, który oświadczył, że instytucyą i nadal opiekować się na zamiar, zwłaszcza, że jest ona prowadzona wzorowo. Z przedłożonego bilansu wynika, że rozwój »Wisły« jest normalny i że stan jej ubezpieczeń stale wzrasta. Rok 1911 był dla wszystkich Towarzystw asekuracyjnych katastrofalnym. (Towarzystwa austr. wypłaciły o 60 milionów kor. więcej tytułem szkód, niż w roku poprzednim). Dlatego najstarsze nawet Towarzystwa wykazały za r. 1911 bardzo małe zyski. Jeżeli zatem »Wisła« zamknęła rok 1911 zyskiem 27.000 koron, to dała dowody swej żywotności. Tytułem szkód wypłaciła »Wisła« w roku sprawozdawczym 233.779 kor. wobec 79.703 z roku 1910 (przez 3 lata suma wypłaconych szkód wynosi 352.438 kor.) fundusze dyspozycyjne wynoszą 218.881 kor. a ubezpieczona wartość wzrosła do 56 milionów koron.

Na 14.673 nowych wniosków w roku 1911 przypada tylko 2467 takich ubezpieczeń, które przeszły do »Wisły« z innych Towarzystw, reszta to tacy, którzy dotąd nigdzie ubezpieczeni nie byli. Pomyślny to objaw, bo świadczy, że »Wisła« z krajowemi Towarzystwami nie konkuruje, tylko pracuje nad rozszerzeniem idei ubezpieczenia na szerokie masy

ludu. Wreszcie zanotować nam wypada, że wkrótce już powołane zostanie do życia Towarzystwo wzajemnego kredytu »Wisła«, którego statuta przedłożono sądowi do zarejestrowania i że dyrekcya rozpoczęła prace około założenia własnego Towarzystwa życiowego.

Książki ks. Borodzicza. Załączamy z przyjemnością prospekt autora i bohatera. Zwracamy uwagę Sz. Czytelnika, że ks. Borodzicz jest zasłużony nietylko Kościołowi (4 kościoły zbudował i wielu ze szyzmy nawrócił), lecz i sprawie narodowej, za którą był przez półtora roku więziony, na 3 lata deportowany do północnej Rosyi. Pamiętniki jego »Pod wozem i na wozie« odkryły w całej nagości tyranię Rosyi. Rok tułactwa tu w Galicyi zaznaczył on poważną pracą, co widać z prospektu, a takoż uratował od zagłady Pawlikowice. Wobec palącej kwestyi rusińskiej z podanych przez autora książek również polecamy bardzo »Dywy sia, jak dobre pid Moskalom żyty« i widokówki. Lektura ta otworzy oczy na to, czem jest wróg, i zapobiegnie groźnej katastrofie.

Odpowiedzi Redakcyi.

PP.: Jan Czechura w P.: Jeżeli sąsiedzi chcą czytać »Rolę«, to niech Pana o pożyczenie proszą lub jeszcze lepiej, niech sobie ją sami zaprenumerują; przecież to taki niewielki wydatek. Listonosz ma obowiązek temu doręczać, czyj jest adres na opasce. Gdyby przetrzymywanie »Roli« jeszcze się powtórzyło, niech nam Pan napisze, a odniesiemy się do c. k. Dyrekcyi poczt, aby ta zmieniła listonosza. — Franciszek Zydroń w W.: Musi mieć 14 lat, ukończoną szkołę ludową; może otrzymać stypendyum. Bliższych objaśnień udziela Dyrekcya. — Józef Fójcik: Wierszyk i humoreska zbyt znane. — J. Ermel: Zagadki w miarę miejsca umieścimy. — Teofil Tryczyński w N.: »Zróbcie Mu miejsce« w numerze, »Chorał« w tece. Walenty Miśniak w P.: Wierszyk z małemi zmianami umieścimy. — Wawrzymiec Pietrucha w Rz.: W imieniu swojem i interesowanych dziękuję. »Rola« pomieści. — Franciszek Chromik z Z.: Prosimy o cierpliwość. — Stanisław Bieszczad w C.: Nadesłana powiastka mogłaby być drukowana dopiero w zimie. — Walenty Pasierb w Cz.: Dziękujemy — dobre. — Józef Kapuściński w L: Dobre, ale tak trudno o miejsce, iż nie wiemy, kiedy będzie. — Tomasz Dziewit w M: W miarę miejsca umieścimy. — Władysław Sioło w K.: Cieszymy się z powrotu do zdrowia. Wiersz dobry. — Jakób Bańka w K.: A jaki katalog?

Potwierdzenia prenumeraty.

PP.: Ks. Jan Konopka z L. 4 K. — Maryan Sokolski z L. 4 K. — Ks. Zenon Jagielski z Z. 4 K. — Franciszek Światłowski z C 4 K. Jan Schindler z D. 4·80 K. — Szczepan Mleczko z K. 2·40 K. — Wojciech Rębis z W. 3·50 K. — Paweł Pawlik z K. 5 K. — Jan Dziadzio z R. 2 K. — Jan Gil z N. 1·50 K. — Franc. Budzik z P. 2 K. — Franc. Ullman z E. 2·40 K. — Jerzy Iskra z W. 4 K.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 3 czerwca

Pszenica	Kor.	11·35	do	11·75	za 50 kg.
Żyto	„	10·05	„	10·75	„
Jęczmień	„	9·20	„	9·80	„
Owies	„	9·80	„	10·50	„
Otręby pszenne	„	8·35	„	8·40	„
Otręby żytnie	„	7·70	„	8·—	„

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 3 czerwca:

Buhaje	Kor	206	do	290	za sztukę
Woły	„	300	„	450	„
Krowy	„	155	„	200	„
Jałówki	„	80	„	200	„
Cielęta	„	30	„	84	„
Owce i kozy	„	—	„	—	„
Świnie (bita waga)		148		168	za 50 kg.

Zagadki do nagrody.

1. SZARADA.

(Nadesłał Jan Czechura).

Pierwsze-trzecie kruszec jasny,
Dar znany wszystkim pono,
Dawniej miski i talerze
Oraz łyżki z niej robiono,
Pierwsze z drugiem razem wzięte
To narzędzia są muzyczne
Przy grze wprawnej dają tony
Niezbyt głośne, jednak śliczne,
Samo trzecie to przyimek.
Wszystko owoc, który kwasem
Wśród gorąca nas orzeźwia,
A w chorobie leczy czasem.

2. ZAGADKA.

(Nadesłał Stanisław Aseńko).

Rośnie bez korzenia.
Kwitnie bez kwiatu,
A służy całemu światu.

3. SZARADA.

(Nadesłał Wojciech Witek).

Pożegnawszy przyjaciół w jakim Jan jest stanie
Wiesz, gdyż to z głoski pierwszej i drugiej [powstanie;
Zaś pierwsza z trzecią dadzą tych, co go od- [wożą,
Całość raz się wydarza zgodnie z wolą Bożą.

4. ZAGADKA.

(Nadesłał Jędrzej Czarnik z Rz.)

Trzy litery w jednym rzędzie,
Gdy je złożysz, to zwierz będzie.

5. SZARADA.

(Ułożył Franciszek Zydroń).

Pierwsza czwarta tak jeździmy,
Drugi różny, są w nim wy, my,
Trzecia ósma w chmielu bywa,
Siódmy kto umie, mówią, że pływa,
Piąta, szósta z pierwszą literą piątego
Da nazwę żyjątka w morzach będącego,
Ósma, siódma, ósma ubranie niewieście.
Całość wielka pani mieszka w głównem mieście.

6. ŁAMIGŁÓWKA LITEROWA.

(Ułożył Stanisław Aseńko).

A, a, a, a, c, d, e, e, g, i, i, l, ł, ł, m, n, n, o, o, o, o, p, p, r, s, s, s, t, y, z, z, z, ż.

Z powyższych liter ułożyć znane przysłowie.

7. SZARADA.

(Ułożył Fr. Zydroń).

Pierwsza wraz z pierwszą literą drugiego
Pełna jest zwierza i ptactwa różnego,
Wstecz je czytając, wprost pół drugiej złącz [do niej
Otrzymasz imię dziewczyny, całość — towa- [rzyszki twej.

8. SZARADA.

(Ułożył Fr. Zydroń).

Trzecia druga głównie życie utrzymuje,
Pierwsza, drugie, pół trzeciej czwarta,
Również się w ciele znajduje;
Gdy pierwsze żyć przestanie, druga nie wiele [warta!
Całość — sprzęt zwykle mały,
Czasem nawet okazały.

* * *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 15 czerwca 1912 r Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z numeru 21 »Roli«: 1. Arytmogryf: **Lalka — Prusa.** 2. Szarada: **Mocowanie.** 3. Logogryf: **Wisła, stan, ława, wał, sława, staw, niwa, nawa, Iwan, iwa, San, wata, łata, łan, Sas, siła.** 4. Szarada: **Warkocz.** 5. Przeplatanka: **Jeżeli kto czyta, nie błądzi, ten się zawsze dobrze rządzi.** 6. Arytmogryf: **Siemiradzki.** 7. Szarada: **Katarynka.**

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali PP.: Adela Bezokówna z K. M., Józefa Hirszberg z K., Franciszek Teper z K. M., Walenty Miśniak z P., Bartłomiej Rosiek z B., Wł. Głogowski z B., Franc. Kellner z P. L., Józef Adamczyk z W. S., Franc. Zydroń z W. (wierszem), Piotr Lipowiak z L., Józef Kapuściński z L. (wierszem), A. Szarek z S. W., A. J. Byłów z M., J. Ermel z W. R., W. Potoczny z H., J. Pękala z H., A. Nowak z H., Koło mac. szk. z S.

Pierwszą nagrodę p. t. ***Z chłopskiej niwy*** wylosował p. **Piotr Lipowiak**, zaś drugą p. t. ***Przygody w Indyach*** wylosował p. **Franciszek Kellner** z P. L.

Tajemnica

w jaki sposób można spiesznie bydło swoje wytuczyć, ustrzedz je przed chorobami, pomnożyć i ulepszyć wydatek podoju, jak leczyć kulawe konie lub spowodować kury do pilniejszego znoszenia jaj, łatwo można się nauczyć. Wystarczy zażądać zapomocą korespondentki przysłania książeczki wydanej przez Mr. T. Paraskowicza, Wiedeń VI, Mariahilferstrasse 51, Postfach G. 20, którą zupełnie darmo i opłatnie wysyłamy.

Handlarz końmi, który próbuje rozmaitych środków, zamawia tylko wyroby Paraskowicza.

Tak pisze nam jeden z największych handlarzy koni:

Kupiony na próbę Pański fluid dla koni oddał nam doskonałe usługi i działał bardzo skutecznie u naszych wyścigowców, narażonych na wielkie trudy.

Ponieważ zamierzamy stale używać środka tego w naszych stajniach, upraszamy o przysłanie większej ilości, może 20—25 flaszek i kreślimy się

Z poważaniem
Nowy Wiedeński Tatersoll, W. Schlesinger i Spka.

Prawdziwie cudowny skutek u krów.

Pan Mr. T. Paraskowicz.

Proszę mi wysłać odwrotną pocztą 12 puszek Vaccinu. Dziękuję serdecznie za ten środek. Nie byłbym nigdy uwierzył, że działa takie cuda.

Polecam proszek ten każdemu, kto ma krowy źle się dojące lub nie chcące żreć.

Józef Kröll, Zillertal. (568)

Mr. T. Paraskowicz wysyła książeczkę wyż wspomnianą darmo tym, którzy mu doniosą, kto w gminie ich posiada najliczniejsze bydło.

Dokładny adres: **Mr. T. Paraskowicz T z. o. p. Wiedeń**, Mariahilferstrasse 51, Postfach G. 20.

ZJEDNOCZONE AUSTRYACKIE TOWARZYSTWO ŻEGLUGI PAROWEJ

Austro-Americana

Regularna i  bezpośrednia

komunikacya z Austryi do **Ameryki północnej**: **(Stany Zjednoczone i Kanada)**; **do Ameryki południowej**: Argentyny, Brazylii i t. d.

w ruchu osobowym i towarowym zapomocą najnowszych, pierwszej klasy parowców o podwójnej śrubie.

Na parowcach aparaty telegraficzne bez drutu, systemu Marconiego.

Informacyj udzielają i sprzedaż kart okrętowych uskuteczniają:

Dla zachodniej Galicyi i Bukowiny:

Kraków: Jeneralna Ajencya Austro-Amerikany (Goldlust i Ska. Biuro spedycyjno-komisowe) ulica Lubicz 7 naprzeciw dworca kolejowego.

Dla Galicyi wschodniej:

Lwów: Biuro pasażerskie Austro-Amerikany Na Błonie 2. oraz wszystkie prowincyonalne ajencye, następnie

Tryest: Dyrekcya Austro-Amerikany, Via Molin Piccolo 2.

Wiedeń: Biuro pasażerskie Austro-Amerikany, II. Kaiser Josefstr. 36. 114
Jeneralna Ajencya Austro-Amerykany Schenker i Ska.

ROZKŁAD JAZDY

a) z Tryestu do Nowego Jorku:

Argentyna . . .	8 czerw.
Martha Washington	15 czerw.
Oceania	22 czerw.

b) z Tryestu do Argentyny:

Francesca . . .	13 czerw.
Laura	27 czerw.

Wydawca: Stanisław Kopernicki. **Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.**
Drukarnia „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.